



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50. W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

WSPOMNIENIE TATRÓW

Z MARZEŃ O SZAREJ GODZINIE

skreślił

Kazimierz Gliński.

MORSKIE OKO.

Pośród kamieni fiołkowej woni,
Ziół aromatów, fal srebrnej harmonii,
W ciemnej zieleni szumiącego lasku,
W melancholijnym księżycu półblasku,
Na traw posłaniu, jak kobierzec, miękkim,
Mieliliśmy rajska noc i sen z błękitu.
Lecz z pierwszym brzaskiem rumianego świtu,
Z pierwszych zbudzonych fal jeziora dźwiękiem,
Sen, co znużone otulał powieki,
Odleciał lekki, tak jak spłynął lekki.

Szary cień nocy umykał.—Poranek
Z marzących schodził gór—a księżyc złoty,
Jak za kochanką tęskniący kochanek,
Pełen zadumy rzewnej i tęsknoty,
Patrzył na ziemię gasnącem obliczem,
A ziemia, z wstydu rumieńcem dziewczęcem,
Piers swą ubrawszy perłami poranku,
Zda się mówiła: „Nie budź mnie, kochanku!
Gdy strojeienne przywdzieję na siebie,
Rozwinę kwiaty i przyjdę do ciebie”.
I krył się księżyc za niebieskie szranki,
Czekając przyjścia niewiernej kochanki,

Która, wciąż nowych rozkoszy spragniona,
Rozwarła słońcu lubieżne ramiona.
Wschód się zapalał—tam, u niebios środka
Niepewny księżyc omdlewał i ginał,
I jakby zlekły, że słońce go spotka,
W jasnym eteru falach się rozplynał.

Westchnęły góry.... a cypłe granitne
Rubinowemi blaski otoczone,
Jakby marzące, jakby rozmodlone
Zda się wzlatują w otchłanie błękitne,
I wtedy bywa taka złudzeń chwila,
Że niby do nich niebo się nachyla;
A cisza taka, jak wtedy gdy uśnie
Świat i głos żaden milczenia nie mać,
Czasami tylko lekki wietrzyk muśnie
Kielichy kwiatów, brylant rosy strąci,
Która, spadając, lśni promieniejącą,
Podobna słońcu, niby-to iza słońca.

Nad Morskiem-Okim, w głazów wydrążeniu,
W wieczyście prawie panującym cieniu,
Czarnego-Stawu ocieżyła fala
Z ponurym jękiem w głębiach się przewala,
Z wszech stron ujeta w sznur granitów mocny.
Tam dążą chmury na spoczynek nocny
I śpią do rana. Zbudzone podmuchem
Wiatru, falistym wypływają ruchem,
Wiją się, kręcą i górą i dołem,
I czarodziejski płas zawiódłszy kołem,
Śpieszą w doliny, by kroplami rosy
Operlić kwiaty, a gnane przez wiatry,
Srebrnych warkoczy rozrzucawszy włosy,
Swobodnie bujać, pędząc ponad Tatry.

Zadrzały liście drzew, chmur cienie znikły,
W całej przyrodzie jakiś ruch niezwykły....
To ze snu ziemia rozbudza się cicha,
I drży i szumi i brzęczy i wzdycha,
I pierś ubiera w kolory niebieskie,
I czeka, strojna, na przyjście królewskie.

Cicho, powolnie na błękitu pole,
Jakgdyby ważąc losy świata dzienne,
Wschodziło słońce pół-lzawe, pół-senne.
Z jakąś tajemną zadumą na czole,
I szło, na każdy głaz ziemi, uważne,
Milczące, wielkie, jasne i poważne.
Zabrzmiąta ptaków pieśń i uroczyste
Drzew umajonych zaszumiały liście;
Na gór wierzchołkach pierścienie srebrnymi
Siadły obłoki, mieniąc się szkarłatem,
A pyszne słońce płynęło nad światem,
Spojrzenie łaski rzucając ku ziemi.
Faluja wiatru oddechy łagodne,
Lśnią drzące światła na śniegów całunach,
Śpiewa jezioro, jakby nimfy wodne
Pieśń czarodziejską grały na fal strunach....

Żegnam cię, Morskie-Oku, Karpat gwiazdo!
Może raz jeszcze, gdy, wichrową jazdą,
Na gór iglicach stanę, lśniącą falą
Wód twoich złotych dostrzeże mnie zdala,
Przez siwe kłęby chmury się przecisnie,
W srebrny się zwinie łuk—zagrmi i błysnie!

OBOWIĄZEK.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 8).

Są ludzie, których można kupić, ludzie mający na sprzedaż duszę i ciało. Jest ich mnóstwo i któż z nas nie słyszał o wyborach, przeprowadzanych środkami przekupstwa i zepsucia? Nie jest to przecież uczciwe używanie wolności, która powinna być czystą i szlachetnie pielęgnowaną. — Stoję na gruncie wolności — ozwał się raz kandydat na deputowanego do wyborców swoich. — Nie, sir, stoisz na parze butów, za które mi nie zapłaciłeś — ozwał się szyderczo szewc, znajdujący się wśród zgromadzenia, i człowiek ten miał słusność za sobą: nie stoi się nigdy rzeczywiście na tym gruncie podniosłym, skoro postępkiem naszym brak zasady moralnej. Ponieważ ludzie dają się pociągać gromadom, liczbie, zatem przy zabiegach nieszlachetnych, ciemny, małowładny wpada w moc nieuczciwego, i to jest klęską społeczeństw, gdyż rozum, mądrość wyższa nie jest po stronie większości. Kiedy raz pewien szarlatan francuzki stał przed sądem policyjnym poprawczej za to, że, sprzedając leki swoje na Pont Neuf, tamował przez gromadnie kupienie się ludności wolną komunikacją, sędzia, ciekawy jakim sposobem zdołał ten człowiek tak przyciągać tłumy, zapytał go o to:

— Ile też ludzi, zdaniem pańskim przebywa Pont Neuf w przeciągu godziny? — zapytał go w miejscu odpowiedzi podsądny. — Nie wiem, odparł sędzia.

— Otóż ja wiem i powiem to panu: około dziesięciu tysięcy, lecz między temi ilu też, przypuszczasz pan, jest rozumnych? — Może stu. — Nie, niema ich tyle, ale niech i tak będzie: odliczam tę setkę, a dziewięć tysięcy dziewięćset osób biorę sobie na zwolenników moich pigulek....

Różne są środki przekupstwa: popularność, pragnienie sławy, rozgłosu, należy do nich, i wtedy to ludzie mało sumienni skłaniają się do zdania tłumów, aby ich nie mieć przeciw sobie. Smiles przytacza szlachetne wyrazy pewnego Szkota: Normana Macleod, który w czasie rozterek kościelnych swego narodu, cierpiał wiele od tłumów, urągających mu, przesładujących go krzykiem i świstem po ulicach miasta, a który napisał wtedy w jednym z listów swoich: „Widziałem temi dniami w kaplicy Holyrood grób z napisem: „Tu leży uczciwy człowiek“. Pragnę tak przeżyć życie, aby dało mi prawo do takiej jednej i jedynej pochwały“.

Nieuczciwi i sprzedajni są ludzie, którzy idą za prądem panujących zdań, czy to dla sławy, czy dla spokoju, lub jakiegokolwiek korzyści własnej. Są słabi, którzy sofizmatem oszukują sumienie, dowodząc sobie, że słusność musi być po stronie większości, że musi na jej wytworzenie wpływać jakaś przyczyna ważna i mająca słusność za sobą. Niekiedy mówią, że idee przyjęte przez pokolenie młodsze są postępem już dla tego, że je młodość przedstawia; gdyby przecież lepiej i głębiej zajrzeli w sumienia, doszliby do tego, że to pragnienie nieoddzielania się od młodych, niemiłe uczucie tego, że nas mogą posądzić o zastój, o starość, działa w nas i tłómaczy nam fałszywie nasze zachowanie się i wyparcie zasad, które w głębi duszy nosimy.

W naszej literaturze kwestyą tę podejmowała kilkakrotnie Żmichowska: kilkakrotnie piętnowała nazwą egoizmu łagodne skłanianie się do zdania większości, dlatego jedynie, że jest większością, czyli siłą panującą. Jeżeli powód takiego postępowania nie leży w nicości umysłowej, w limfatyczności temperamentu, brak szlachetnej energii, szlachetnego oburzenia przeciw temu, co staje do sporu z wewnętrznym przekonaniem naszym, co się sprzeciwia naszym wierzeniom i nadziejom, nazywała podobnie jak Smiles: nieuczciwością.

Ludzie sprzedajni znajdują się na wszystkich szczeblach społecznej hierarchii. Bywają często urzędnicy sprzedajni. Smiles podaje tu wiele smutnych między narodami przykładów i przytacza wreszcie ustęp z *Timesa* dowodzący, że gdy raz

przestępstwo tego rodzaju wkradnie się w sfery rządowe, kładzie to natychmiast koniec skuteczności praw i zaufaniu publicznemu do nich. „Zła to godzina bije wtedy dla społeczeństwa, gdy się tak gdzie stanie, i jest to rzeczą najwyższego znaczenia, aby służba publiczna była czystą, aby żadne podejrzenie nie skaziło nigdy nazwiska tych, którym powierzone jest wykonanie władzy“.

Skoro duch nieuczciwości zakradnie się raz między ludzi, nie poradzą mu żadne zaradki środki ostrożności. Raz, pewien człowiek przemysłny wynalazł przyrząd, kontrolujący liczbę osób jadących omnibusami i przedstawił go do nabycia londyńskiej spółce komunikacji ulicznej, ale odmówiono przyjęcia. — „Nieużyteczna to rzecz — odpisał sekretarz spółki. — Potrzebna mogłaby nam być jedynie maszyna, czyniąca ludzi uczciwymi, lecz wątpię należy, czy taki wynalazek wchodzi w zakres mechaniki“.

Co wiedzie do nieuczciwości, co od niej broni? Chęć używania za jakąkolwiek cenę, jakimikolwiek środkami — oto droga po tej pochyłości, gdy prostota i skromność obyczajów staje się warownią dla cnoty uczciwej. Smiles wykazuje przykładami, że od najdawniejszych czasów ludzie najwyższego charakteru byli ludźmi ubogimi i razem szczęśliwymi w ubóstwie swoim, w mierności i pracy. Cincinnatus, Sokrates, Epaminondas, Cyceron, to ludzie tacy. I uczniowie Jezusowi, apostołowie chrystyanizmu, to także ubodzy, nie posiadający nic nad owoc codziennej pracy. Ludzie chcący i mogący tak żyć, to ludzie, których „nie można kupić“, ludzie wyżsi nad pokusę wszelką. Między nowożytnymi a mniej znanymi przykładami, Smiles przytacza Andrzeja Marwella, Anglika, żyjącego wśród burzliwych czasów Karola I-o i II-o. Człowiek ten był przekonany monarchicznych, i wskutek tego nie podzielał uczuć przyjaciela swego Milтона, ale była to dusza wyższa nad wszelką stronniczość i gdy potem rządy Karola II nie odpowiadały temu, czego pragnął dla Anglii, usunął się od dworu i nic nie zdołało go skłonić, aby stanął po jego stronie. Gdy lord Dauby, wielki podskarbi korony, a niegdyś towarzysz uniwersytecki Marwella, chciał go zdobyć pieniędzmi i odwiedziwszy go raz, wsunął mu już w chwili wsiadania do powozu, przekaz bankowy na 1,000 funtów sterlingów, Marwell, przekonawszy się co to za papier dano mu w rękę, zawołał za odjeżdżającym, aby zechciał poczekać jeszcze moment i zawołał posługującego mu wyrostka. — Jack, moje dziecko, powiedz-no, com jadł wczoraj na obiad?

— Nie pamiętam pan? — odpowiedział chłopiec zdziwiony. — Była to łopata barania, którą kazał mi pan przynieść od oberżystki z targu. — Tak, przypominam sobie, ale powiedz mi jeszcze, chłopcze, co będę miał dziś na obiad? — Czyż pan nie wiesz? Kazałem mi pan uszkwarzyć sobie na ruszcie taki sam kawałek. — Dobrze moje dziecko, możesz już odejść — zakończył Marwell, odsyłając chłopca, lecz obróciwszy się wtedy do wielkiego dostojnika, dodał: — Czyś słyszał, milordzie? Andrzej Marwell ma już dziś obiad zapewniony i niech Wasza Cześć raczy wziąć napowrót ten papier.

Marwell nie był ubogim przecież, ale prowadził zawsze życie tak proste i wstrzemięźliwe we wszelkich kierunkach i to do samej śmierci, która przyszła wkrótce potem tak nagle i niespodziewanie, że przypuszczano truciznę. Rzecz nie była dowiedziona, może zatem prawdziwą nie jest. Smiles do tej uwagi, dodaje tylko napis położony na kamieniu grobowym: — „Był kochany przez dobrych, a złi go się lekali“.

Karol II znalazł podobny przykład dumy szlachetnej w Ben Jonsonie, poecie, ubogim i szlachetnym człowieku. Powalony wiekiem i chorobą, umierał on w nędzy, odesłał przecież przysłane sobie pieniądze i umarł nie będąc winien nic nikomu.

Bardzo ubogim był Goldsmith — ubogim był całe życie, ale nigdy nie sprzedajnym, niechcącym nigdy oddać pióra swego w służbę sprzecznym mu przekonaniom. Przeszedł dużo biedy i próbował zawodów rozmaitych, zanim został literatem i człowiekiem sławnym, co w owych czasach, nie broniło jeszcze od biedy ludzi niezawisłego charakteru. Mieszkał w lichej stancyjce, a przecież raz gospodyni, od której ją najmował, chciała go wsadzić

do aresztu za długi, i wtedy biedak posłał o ratunek do przyjaciela swego, krytyka Johnsona i oddał mu dla załatwienia sprawy jedyną rzecz szacowną, którą posiadał: plik papieru świeżo zapisanego. Było to rękopismo sławnego i po dziś dzień cenionego, do klasycznych dzieł literatury angielskiej zaliczającego się romansu: *Wikary z Wakefield*. Johnson zbył je księgarzowi za 16 funtów, i twórca książki, którą Goethe nazywał „swoją rozkoszą“, której przypisywał niezmierny wpływ na umysł i rozwój swego talentu, odechnął dopiero swobodnie, choć przy takim owocu pracy swoboda nie trwała długo. A jednak mógł być uczynić się przez pióro swe człowiekiem conajmniej dostatnim, bo wtedy właśnie pierwszy minister Anglii Robert Walpole, wydawał rocznie 50,000 funtów na tajemnicze potrzeby zarządu, i gdy sławny po dziś dzień, po dziś dzień bezimiennym pozostały pamflet polityczny: „Listy Juniusa“ kazał mu szukać obrony u talentu odpowiedniej siły i zwrócił się do Goldsmitha, nie u niego nie zyskał. A przecież był on i wtedy, jak zawsze: w potrzebie; bez chleba trudno już było się obejść, i aby go mieć, wziął się zaraz po odmowie danej Walpolowi do napisania historyjki dla dzieci, sławnej powiastki: *Goody Two Shoes*.

Smiles przytacza z tej i następującej zaraz epoki ciężkich dla Anglii czasów długi szereg ludzi, gardzących wziętkiem grosza publicznego nawet wtedy, gdy nie był to owoc poświęcenia przekonań swoich, a tylko wypływał z gratek szczęśliwych: z sinekur zyskowych. Odrzucano dumnie taki niezarobiony nabytek przez uczucie godności osobistej, przez dostojność ducha, i czy nie w skutek takiego to moralnego nastroju społeczeństwa Anglia zdołała przetrwać wtedy walące się na nią klęski? Smiles pytania tego nie stawia sobie, niema więc w dziele jego i wyraźnej na nie odpowiedzi, znajduje się ona przecież w duchu tego co pisze, szczególnie przy obrazie spartańskiej bezinteresowności Pitta, o którym mówi: „Był to ów wielkomyślny człowiek, jakiego opisał Arystoteles w swoich *Etykach*, „który wiedział to o sobie, że jest godnym wielkich rzeczy, będąc rzeczywiście ich godnym“. Smiles zamyka ustęp o Picie temi słowy: „Nie nie mogło podnieść wyżej jego charakteru, nad szlachetne ubóstwo“, gdyż ten „szlachetnie ubogi“ rządził niemal samowładnie najbogatszym narodem świata.

Między przytoczonymi legendami pięknych czynów ludzi podniesionych duchem ponad miłość pieniędzy i używanie, które dać mogą, znajdujemy znaczny postęp znakomitego francuzkiego prawnika i adwokata Chamillard'a, który przegrał raz wielki proces przez brak ważnego dokumentu. Klient w rozpacz wyrzucił mu swoją zgubę, dowodząc, że rozstrzygający rzecz papier złożył sam w jego ręce. Chamillard odpowiadał niemiennie, że go nie dostał, że nie wiedział zgola o jego istnieniu; gdy nagle, przerzucając akta sprawy znalazł go i poznał, że prawdą było co twierdził. Ale wyrok sądu został już odesłany do najwyższej decyzji parlamentu i zatwierdzony, zatem możliwość apellacyi przepadała i Chamillard, nie ukrywając swego nieszczęśliwego zapomnienia, prosił tylko poszkodowanego, aby poczekał na jego decyzję w tej sprawie do jutra. Gdy jutro to nadeszło, wręczył mu wynagrodzenie całej poniesionej straty, co przecież obierała jego samego z majątku co do grosza. Był to jednak tylko obowiązek spełniony uczciwie, ale znaczny człowiek poszedł dalej: wniósł do prezydenta parlamentu prośbę o zwolnienie go z obrony spraw, idących pod zatwierdzenie parlamentu, to jest ze spraw ostatniej instancyi. Po nieszczęsnem zapomnieniu się, które raz nań przypadło, nie śmiał ufać sam sobie i narażał ludzi na stratę, której teraz jużby nie miał czem wynagrodzić...

Wysokiej bezinteresowności dowiódł szlachetny czyn uczonego: sir Humphry Davy, wynalazcy lampy bezpieczeństwa dla górników pracujących w podziemiach wśród zapalnych wyziewów gazowych. Radzono mu, aby opatentował swój wynalazek, co mogło być przyniesie mu wielki dochód: około 10,000 funtów sterlingów rocznie, ale on potrząsnął głową. — „Nie, — rzekł, — jedyną mą myślą przy pracy była chęć służenia ludzkości i nie żądam też teraz nic nad to. Zwięk-

szony majątek cóżby mi przyniósł więcej: czy sławę, czy szczęście? Mógłbym niewątpliwie zaprzężyć wtedy cztery konie do powozu; cóż przecież przyszkodzi mi z tego, gdyby mówiono, że sir Humphry Devy jeździ czwórka?"

Równie bezinteresownym okazał się jego następca w zawodzie chemicznym, Faraday, nie chcący wyciągać z naukowych swych odkryć żadnych korzyści osobistych i czyniący zdobywcze swych pracownictw badań własnością ogółu. Medal Faradaya jest też obecnie znakiem najwyższego uznania, jaki udzielonym być może przez *Angielskie Stowarzyszenie popierające nauki i umiejętności*.

Znanym jest ogólnie początek wielkiej fortuny Rotschildów. W czasie wojen i zaborów Napoleońskich, landgraf Wilhelm Heski, późniejszy elektor, uchodzący z kraju złożył w ręce niezamożnego i niemłodego już Izraelity, Mayera Amschel czy Anselm, cały swój majątek, wielki na owe czasy: trzy miliony florenów, których unieść ze sobą nie mógł, a komuż miał zostawić, gdy zostawiać mógł tylko skrycie, w tajemnicy, powierzając się całkowicie dobrej wierze i uczciwości tego, który je przyjmował? I niekażdy przyjąć-by mógł i chciał, bo czas wojenny groźny był i niósł wtedy ze sobą klęski, większe jeszcze niż obecnie: rabunek, zniszczenie miast całych, potrzebę ucieczki może niejednokrotnej. Meyer Amschel był antykwarem i handlował starożytną monetą, przytem zmieniał i wypożyczał pieniądze na procent, jak teraz wykazaniem zostało w dziele Fryderyka Martina: *Stories of Banks and Bankers*; ale pewnie nie była to stopa procentów lichwiarska: żyd Frankfurcki nie był „Żydem Weneckim“ i kiedy po nieszczęśliwej bitwie pod Lipskiem Napoleon I cofnął się poza Ren, a landgraf Heski wrócił do swego państwa, najstarszy syn Meyera Amschel zjawił się natychmiast przed nim, odniósł nie tylko dane ojcu miliony, ale to, co obrót ich przyniósł — odniósł to wszystko uczciwie, sumiennie, mogąc tego nie uczynić: mogąc opuścić miasto, przesiedlić się gdzieindziej i wśród przewrotu walących się państw żyć najzupełniej spokojnie pod nazwiskiem, jakieby chciał przyjąć. Landgraf w uniesieniu wdzięczności nadał mu natychmiast szlachectwo i tytuł barona heskiego. Dawny sztyl sklepu antykwareusza, czerwona tarcza, *Rother Schild*, stała się herbem i dała nazwisko rodu wśród rozrodzonych begaczy i potentatów złota.

Smiles zestawia z tym czynem przeszłość starożytną Mayera Amschel, który, zostawszy zupełnie ubogim sierotą w jedenastym roku życia, sam się chował w twardej szkole życia i wiedział co co-to bieda, a co dostatek? Zestawia z tem zarówno przeszłość historyczną ludu żydowskiego we Frankfurcie (nad Menem) gdzie żydzi mieli wyznaczoną sobie dzielnicę, co było pozostałością Wieków Średnich niemal wszędzie, ale tam, jak w Niemczech prawie ogólnie, nie wolno im było pod karą śmierci znaleźć się poza jej obrębem od pewnej oznaczonej godziny wieczoru, a frankfurcka Judengasse zamykała się na noc na wrota żelazne, zasuwane się rygle i zamki jak u bram więzienia. Napoleon dopiero zwałił tę twierdzę niełudzkości i fanatyzmu.

Dostojność ducha ludzkiego wykwitła w Meyerze Amschel i jego synu ponad to wszystko: ponad pamięć ucisku i nienawiść, jaką to wyradza; nad chciwość zysku i miłość pieniędzy przypisywaną jego narodowi. Z wysoce szlachetnego pnia wyszedł też dom Rotschildów.

Ostatni przykład szlachetnej bezinteresowności następcy Smilesowi wspomnienie na Macaulaya. Były czasy, że piórem nie zarabiał on rocznie więcej nad 200 funtów i tak bywał zawsze w braku i potrzebie kredytu, że ułożył sobie moralną zasadę postępowania z wierzycielami: — Zarobek wszelki, jaki praca przynosi, — mówił, — jest to nasz kapitał, wypłacany nam częściowo, więc też należy to do powinności naszych, aby natychmiast po otrzymaniu tej wypłaty, uiszczać się z innej, nas cięższej, to jest spłacać cośmy winni komu. Mawiał przytem: „Często obliczając wydatki niepotrzebne, z próżności i dla ludzkiego oka czynione, dochodzimy do przekonania, że jesteśmy opodatkowani najciężej przez ambi-

cyą naszą“. A jednak ten człowiek zmuszony tak się rachować z groszem, odsuwał od siebie sposobność podwyższonych dochodów, a nawet zrobienia majątku. „Ścisłe stosowanie się do dochodów naszych i wczesne nawyknienie do tego, jestto najpewniejszy grunt, na którym zbudować sobie możemy dobre imię publicznej i prywatnej uczciwości, oraz i utrzymać dostojną niezawisłość“ — to była jego zasada, wedle której też postępował. Gdy ofiarowano mu miejsce urzędnika w radzie zarządu Indyi, odpisał: „Z każdym dniem przeżytym, mniejszem jest we mnie pragnienie majątku, ale każdy dzień daje mi uczucie coraz więcej potrzebnego do zajęć naszych uzdolnienia. Bez tego, bez takiego uzdolnienia jest niemal niepodobieństwem, aby człowiek w służbie publicznej mógł pozostać uczciwym. Położenie moje jest przecież takim, że muszę albo żyć z pióra, albo być urzędnikiem. Jakkolwiek pierwsza konieczność jest ciężką — tu wypisał długą litanią przykrości, ucisku umysłowego, jaki to wiedzie za sobą, — wolę to jednak, niż sprawować urząd, jedynie dla dochodów, które daje“.

W końcu jednak uczuł się zdolnym do tego, aby urzędować, przyjął posadę w Indjach, z kąd wrócił nie zaległszy pola naukowych studiów, ponieważ po tym powrocie właśnie napisał *Historyą Anglii*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Obrazy te tak korzystnie się odznaczały wśród innych, iż Ludmiła długo się im przypatrywała. Artysta, co je stworzył, wistocie mistrzem był w jej oczach.

— A! — zawołała, do Sitki się zwracając — znam jego dzieł parę; jest to niepospolity talent, ale dla czegoż pan, oddając mu sprawiedliwość, powiadasz, że go nie lubisz?

Sitko się zarumienił i zmieszał.

— Niech mi pani przebaczy — rzekł — plotę niewiedzieć co, bo doprawdy nie umiem powiedzieć dlaczego nie lubię go. Ot tak, na obrazy patrząc, wielbię, a gdy na człowieka spojrzę, ogarnia mnie strach i wstręt. Natury zwyciężyć nie umiem.

Nazwisko artysty i on sam utkwił teraz silniej w pamięci Ścioborzanki. Przyznawała w duchu pewną słusność Sitce, który czuł doń odrazę, a wstrzymać się nie mógł od zajęcia dziełami, z których część admiracyi spływała na ich twórcę.

Była go ciekawą.

Nie dziw też, iż ze zmienionem już usposobieniem, skłonna do powzięcia dobrego wyobrażenia o człowieku tak znakomitym talentem obdarzonym — panna Ludmiła, gdy w kilka dni potem spotkała go w galerii znowu, a niezrażony malarz przysunął się do niej z pozdrowieniem bardzo grzecznem, odpowiedziała na nie uprzejmie niż pierwszą razą.

Zdawało się to go napełniać nadzwyczajną radością; oczy mu zajaśniały, fizioognia przybrała wyraz łagodny i przymilający się.

— Pani masz nadzwyczajne zamiłowanie sztuki — odezwał się, próbując znowu zawiązać rozmowę. Widuję ją poważnie studiującą dzieła, które większa część dyletantów zaledwie pobieżnem wjrzeniem zbywa.

— Wistocie — odparła Ludmiła, nie unikając już teraz bliższego poznania — miłuję sztukę i sama się jej chcę poświęcić, radabym tajemnice odgadnąć.

Usłyszawszy to pan von Apold jeszcze się bar-

dziej ożywił. Sądził zapewne, że była tylko zamiłowaną w sztuce; wiadomość, iż miał przed sobą artystkę, widocznie go rozradowała.

Ludmiła chciała mu dać poznać, iż wie z kim mówi i — powiedzieć razem komplement. Wy-mknął się jej nierozważnie trochę i dopiero gdy do-kończyła, zarumieniła się, zamiarkowawszy, że za-szła zadaleko. Był to pierwszy krok do nieuni- knionej bliższej znajomości, odezwała się bowiem, piękne swe oczy podnosząc ku niemu.

— Dawnych i nowych mistrzów dzieła, z ró-wnem badam zajęciem, a na wystawie miałam wielką przyjemność podziwiać matkę z dziećmi- ciem i krajobraz leśny, które godne są wisieć obok mistrzów, jacy się tu znajdują.

Pan von Apold zapomniał cały, odprostował się, drgnął i śmiało już przybliżył do mówiącej.

— Autor tych dwóch obrazów — rzekł z pewną skromnością, może nie zbyt szczerą — miał tylko to szczęście malując je, że natury, którą widział przed sobą — nie popsuł, nie upiększył i odwzoro- wał ją, jaką była. Cała to sztuki tajemnica: w natu- rze znaleźć sztuki ziarno i dać mu się rozwinąć zdrowo.

Gdyby nie pewien lasu kawałek, i nie pewna bardzo prozaiczna chłopka z Loschwitz, dwa te obrazy-by nie istniały.

— Tak — odpowiedziała Ludmiła — lecz ten sam las i tę samą chłopkę widzieli inni i nie z nich zro- bić nie potrafili. Geniusz tworzy arcydzieła z tego, co dla drugich jest niczem.

Zarumieniony, szczęśliwy, von Apold stał, drżą- cy jak młodzieniaszek, któremu pierwszy raz w ży- ciu uśmiechną się usta niewieście. W tem, co mó- wiła Ścioborzanka, czuł on umysł wyższy, mogący go zrozumieć, a cudną piękność powłoki, w której mu się zjawiała, czyniła dlań to zjawisko zachwy- cającym.

— Pani — zawołał z uśmiechem — z jej wyrazów poznaję w niej prawdziwą artystkę. — Niechże mi wolno będzie, gdyś tak łaskawie osądziła moje obrazy, samemu się jej przedstawić. Będę szczę- śliwy, gdy mi pozwolisz....

Ludmiła, trochę przestraszona, odparła żywo:

— Ile razy się tu spotkamy, będzie mi bardzo miło nauczyć się coś z jego rozmowy. Na nie- szczęście jestem sierotą, jestem sama jedna w świe- cie i pojmujesz pan, że w położeniu mojem wszel- kie stosunki są mi wzbronione.

Panu von Apoldowi to osamotnienie, o którym wspomniła Ludmiła, nie tylko nie odjęło odwagi, lecz zdawało się go jakąś nadzieją rozgrzewać.

— Nie mówię o innych stosunkach, przerwał żywo, nad te, które pomiędzy artystami zarówno sztukę miłującymi się zawiązują. Jestem stary już — uśmiechnął się — i na tej drodze, którą pani rozpoczynasz dopiero, mógłbym jej być może uży- tecznym.

Ludmiła podziękowała ukłonem. Malarz nie chciał przerwać tak szczęśliwie rozpoczętej roz- mowy. Stanęli przed obrazem Rembrandta; za- częł mówić o czarach kolorytu, o urokach świa- tel i cieni, o środkach, jakie daje artyście nawet mniej pewnemu swego rysunku, poczucie tej gry tonów i gospodarstwa światła, które Rembrandt tak mistrzowsko rozumiał. Użył tego wyrazu. Ludmiła słuchała z wielkim zajęciem.

— Powiedziałem, rozumiał, — dodał, — alem źle to określił. Rembrandt miał ten dar, który się nie nabywa i nie tłómaczy. Tej magii nau- czyć się nie można, choć ją naśladować może lada Dietrich; nie da się ona ująć żadną teorią, choć o niej tomy się piszą.

Ale toż samo jest z rysunkiem, ze stylem, z wyrazem. Potrzeba z sobą z kolebki wynieść dar... a dar ten jak ewangeliczne ziarno pada na różne opoki, piaski, skały, moczary i ginie w wie- lu, a niekiedy tylko do rozmiarów olbrzymich do- rasta.

Mówił, ożywił się, a Ludmiła z poszanowaniem go słuchała, bo płynęło mu to z duszy; myślał sam, nie pożyczając tych prawd, ogrzewał je sło- wem barwnem. Słowo to wywarło silne wraże- nie, przykuło ją na chwilę do niego. Zapomniała nieco o tem, że powinna była być ostrożną. Za- dawała pytania, wywoływała objaśnienia.

Apold odpowiadał jak człowiek, który trafił na inteligentnego słuchacza, lecz zarazem uroczą nie-

wiaść mając przed sobą, pragnął się podobać, chciał się okazać, nie takim może jakim był, lecz jakim być pragnął...

Krótką tą rozmową była dla nich obojga niebezpieczną, niepostrzeżenie zbliżyła ich i spoufaliła. Jedność pojęć i myśli jest bardzo często drogą do rozbudzenia uczuć jednych, wzajemnych. Malarz wydał się Sciborzance daleko miłszym niż w początku, — a o nim mówić nie potrzebuje my nawet, iż, wychodząc z galerii, stracił głowę — oszalał.

Piękność klasyczna tak rzadko łączy się z równie podniosłym duchem, tak często nicieś okrywa, iż znalezienie obojga w jednym musi najchłodniejszego rozplamienia.

Pan Piotr Paweł von Apold, ubogi szlachcic saski, nie był wcale chłodnym: owszem aż nadto gorący temperament, aż nadto wrażliwe serce łączyło się z talentem znakomitym i płochością niezrównaną.

Wychowanie akademii, świetnie skończywszy studia w niej, ze stypendium rządowym udał się do Włoch, z kąd powrócił żonaty z pięknym modelem, urodzonym u brzegów Tybru. Szczęściem dla modelu, który czekało życie twarde, zmarł on bardzo wcześnie.

Rok nie upłynął potem, gdy Apold, rozkochany w córce gospodyni, u której miał mieszkanie, pochwylił piętnastoletnie dziewczę, niewykształcone, naiwne, proste, mające tylko wdzięk swych lat, który przeszedł bardzo prędko. Ze świeżością tej Liny, miłość dla niej zagasła. Troje dzieci zmuszało ją do prozaicznego nianżenia i niepoetycznej kuchni. Niedostatek — spory i wojny, kwasy i płacze sprowadzało do domu.

Apold też uciekał z niego. Siadywał w atelier umyślnie daleko najętem, aby się od żony uwolnić, wieczory spędzał u Helbiga lub na Terrasie, i ludzie mówili o wielu bałamuctwach, które żona gorzkimi oblewała łzami.

Mało kto jednak świadomym był tych tajemnic małżeńskiego pożycia malarza, który starannie ukrywał to nawet, że był żonatym, bo się wstydził żony tej, dziś już niemogącej stanąć u jego boku. Prawda, że się czuł daleko wyższym od niej, i był wyższym w istocie, lecz miał czas i obowiązek podniesienia jej ku sobie, a zaniedbał ją, jak tylko spił z tego kwiatka świeżą barwę jego i wonie.

Widowano go zawsze samym, a że o rodzinie i Linie swej nie mówił nigdy, bardzo wiele osób miało go za bezzennego. Apold, prawdziwym talentem nabywszy sławy i zarabiając teraz codzień więcej, załedwie na najpierwsze domowe potrzeby żonie dostarczał; reszta rozplywała się w jego rękach w sposób tajemniczy. Powiadano, że długi miał znaczne, ale też i fantazje artystyczne, z którymi nie walczył nigdy. Na tych dorocznych igrzyskach karnawałowych, które artyści w całych Niemczech sprawiają sobie, aby ciężki los swój osłodzić, w uroczystościach, występach, cugach, maskaradach, Apold zawsze się odznaczał i smakiem i malowniczością kostiumów i ich bogactwem.

W domu czasem brakło węgla i mięsa, ale atelier artysty wystrojone było w starożytne sprzęty, gobeliny, brzozy i porcelany zwiedzających je zachwycające. Sam on strojny był zawsze, i nie odmawiał sobie niczego. Był-li to brak serca, brak sumienia, czy takie upojenie jakies, co oboje głuszyło?

Sitko, który, jak mówił, nie lubił genialnego artysty — mało go znał, widywał zdaleka i nie wiedział nawet, że był żonatym.

Prosper obracał się w innych kołach z biedą swoją. Lepił, wprosiwszy się do Ritschla, pod jego kierunkiem, zmuszony mrzeć głodem, aby mieć zaco kupić drzewa na skielet i gliny na wyrobienie swej myśli. Nie skarżył się nigdy, dumny był, nie przyznawał się do swej nędzy, lecz odzież o niej mówiła, choć się wyklamywał, że nie ma o niej myśleć czasu. W tym tak niepozornym, niezgrabnym człowieku mieszkał duch wielki, — co więcej krył niż chwalił. Sam siebie, ile razy co zrobił, pierwszy ganić zaczynał, słabe strony odkrywając, którychby inni może nie dostrzegali. Tak samo każdy swój dobry uczynek tłómaczył egoizmem.

Ludmiła miała dlań sympatyę, lecz ta płynęła z politowania, gdy dla Apolda czuła admiracyę, które i dzieła jego i żywe budziło słowo.

Po długich błądzeniach w galerii, wahanii się, niepewności, w ostatku obrała sobie krajobraz jako rodzaj, któremu poświęcić się miała, z tą myślą, że drobne figurki, jakimi go mogła ożywić, mniej wymagać będą wielkich a niedostępnych dla niej studiów...

W jednej z rozmów swych z Apoldem, który chciwie śledził jej kroki i ściagał ją, Ludmiła mu się przyznała do tego, dodając, że ją onieśmielało jeszcze i to, co widziała z jego robót, Calame'a i innych artystów współczesnych.

— Już w ślad choćby za takim mistrzem jak pan lub szwajcarski ten twórca krajobrazów, — dodała, — choćby za Ruysdaelem nawet, nie chciałabym, a — niestety! wszystkie strony i rodzaje krajobrazów są wyczerpane...

— Mylisz się pani, — odparł Apold, — krajobraz w naturze jest nieskończoności rozmaitej; na płótnach artystów staje się on, ujęty nawet jednemi liniami, coraz nowym przez sposób zapamiętania się nań i uwydatniania jego części składowych. Od Salvatora Rosy do naszego Richtera, co za skala olbrzymia, a między dwoma wyrazami skrajnymi, ile jeszcze niezajętych odcieni!

Mówiąc o krajobrazie, Apold tak umiał jakoś nawrócić rozmowę i nadać jej kierunek dla siebie pożądany, iż w końcu bardzo zręcznie zaprosił pannę Ludmilę, aby raczyła obejrzyć jego pracownię.

Sciborzanę oddawna ciekawość oglądania jej niepokoiła. Pomyślała że nie pójdzie sama, że uprosi córkę gospodyni... i z podzięką przyjęła zaproszenie.

Różnym był wielce w genialnym malarzu artysta od człowieka, lecz i sam człowiek w nim nie jednak był w rozmaitych życia chwilach.

W domu stawał się zgrzytliwym, złym, niemal okrutnym; w swojej pracowni, w gronie towarzyszy, z tymi, którym się starał przypodobać, Piotr Paweł był najmiłszym z ludzi, najszczerzejszym z przyjaciół — serdecznym, usłużnym.

Była-li to komedia czy taka smutna jednej natury wrażliwość i gietkość, czyniąca go z kolei niepodobnym do siebie? Był-li to temperament artysty, któremu godziło się przebaczyć wszystko, bo nie wiedział co czynił, czyli zepsuta istota z rozmysłem, rachubą i chłodem grająca tę rolę kameleona? Tego rozstrzygać nie chcemy.

Czuł on dla panny Ludmili miłość, uwielbienie, któreby go były w tej chwili rozplamienia do największych ofiar skłoniły, ale może i do największych zbrodni. Kochał się. Czyniło go to natężonym, potęgowało w nim siły, ale jako małżonka i ojca robiło tyranem. Kłótnie codzienne dochodziły do takich rozmiarów, że nieszczęśliwa żona z rozpacz traciła przytomność. Apold, unikając ich, nie powracał już nawet do domu, i najczęściej, nierozbierając się, nocował w swej pracowni.

Uboga rodzina biednej Liny obawiała się wtrącać w sprawy małżeńskie, aby położenia nie pogorszyć. Sam on myślał o rozwodzie, lecz w takim razie zmuszon-by był prawem zapewnić żonie i dzieciom stałe utrzymanie, a nie miał nic oprócz fantazyi i długów.

Ludmiła, która o wszystkim tem pojęcia nie miała, a była przekonana, że człowiek, którego oczy tyle do niej mówiły — wolnym być musiał — zaczynała się niepokoić sama sobą. Myślała o nim nadto, czuła wpływ, jaki na nią wywierał — przyszłość trwożyła ją. Instynktowo, nieznając go, tylko z tej jednej strony, z której się jej pokazywał, przeczuwała, że geniusz ten dla życia na ziemi rękami szczęścia nie dawał. Obawiała się pokochać go — zając się nim, uleść urokowi jaki wywierał. W tym zapale, z jakim ją ściagał, było coś zastraszającego gwałtownością, gorączką, w której trwanie uwierzyć jej było trudno. Miłość ona sobie wyobrażała mniej namiętną, spokojną, zewnątrz zastygłą, gorejącą we wnętrzu serca. Tu wulkan wybuchał, a płomienie zdawały się wysiłkiem ostatnim dobywać z jego łona.

Zaproszenie do pracowni, które przyjęła, strwożyło ją, gdy, powróciwszy do domu, myśleć o niem zaczęła. Stosunki wiązały się coraz bliższe; potrzeba je było zerwać, ostudzić.

(Dalszy ciąg nastąpi)

IRLANDYA RYS JEJ DZIEJÓW

(Według Beaumonta i innych źródeł).

(Dalszy ciąg).

Epoka II.—1535—1690.

1. Podbicie Irlandyi, daremnie usiłowane w ciągu czterech pierwszych wieków po wylądowaniu w niej Anglików, zostało przecie skutecznie w ciągu wieku jednego pod Henrykiem VIII, Elżbietą i Cromwellem. Rzecz w tem, że Irlandya, będąca dotychczas dla Anglii sprawą drugiego rzędu, stała się odtąd interessem głównym; została całkowicie ujarzmioną i uśmierzoną, a przecie zlanie się pokoleń bynajmniej nie nastąpiło, nie nawiść wzajemna stała się jeszcze gwałtowniejszą. Przyczyną tego wszystkiego była sprzeczność religijnych wierzeń.

Anglia, przyjąwszy reformacyę, musiała pragnąć, ażeby Irlandya stała się także protestancką; musiała tego pragnąć, nie tylko przez religijny fanatyzm i nietolerancyę, ale i z politycznych powodów. W owych czasach trzeba było niszczyć religię drugich, ażeby swoją zachować; a co najważniejsza, Irlandya, nie straszna dla Anglii sama przez się, niebezpieczną była skądinąd, bo wśród europejskiej walki dwóch idei stała się ogniskiem wszystkich usiłowań katolickich potęg, mających na celu obalenie angielskiego protestantyzmu. W niej ześrodkowały się wszystkie zabiegi papieżów, Hiszpanii i Francyi.

Zrobienie jednak Irlandczyków protestantami było niepodobniestwem. Naprzód dlatego, że Irlandya obcą była zupełnie, z przyczyn przy wejściu na jej stan poprzedni widocznych, postępowi wyobrażeń w Europie, które reformacyą zrodziły; katolicyzm pozostał w niej niezachwianym i wszechwładnym nad umysłami; żadne się tam nowości nie wcisnęły. Późtore, reformę wnieśli do Irlandyi Anglicy, najzaciętsi jej wrogowie i prześladowcy. Dosyć było tej jednej okoliczności dla przywiązania Irlandczyków, gdyby nawet sprzyjali protestantyzmowi, do dawnego Kościoła i do wiary ojców. Późtore, w samym odłączeniu się Anglii i jej króla od Kościoła Rzymskiego, znajdowała Irlandya prawny argument dla swego oporu: wszakże z ramienia papieża stali się monarchowie angielscy władzami Irlandyi; zrzucając więc jego zwierzchność, pozbawiali się niejako praw przezeń nadanych. Daremne też były usiłowania Henryka VIII-go i Elżbiety. Ostatnia, używszy na to wszystkich skarbów Anglii, po latach dziesięciu okrutnej wojny, podbiła całą Irlandyę. Klasztory zostały skasowane, dobra duchowne zajęte, nabożeństwa według angielskiego obrządku nakazane; wykonanie przysięgi uznającej króla za głowę kościoła położono jako konieczny warunek przy dopełnieniu wszelkich aktów cywilnych — i wszystko nadaremnie. Prześladowcze te środki spowodowały tylko kilka wybuchów, ale celu swego bynajmniej nie dopięły. Katolicy irlandzcy, czy-to krajowcy czy angielskiego pochodzenia, zmuszeni surowością kar do powierchownego zastoso wywania się do obrządków anglikańskich, zwłaszcza w miastach gdzie władza królewska ściślej się wykonywała, przy lada okoliczności wstrząsającej rządem jawnie już zrzucali przymus. Tak było po śmierci Elżbiety, kiedy Irlandya mniemała, że Jakób I przychylny jest katolicyzmowi; tak też i pod Karolem I-ym od chwili jego walki z parlamentem. Zresztą nawet w czasie zupełnej uległości i ciszy, za Elżbietą, przy najmocniejszych zakazach publicznego

nabożeństwa katolickiego, nie odważano się wy magać od ludności zmiany religii¹⁾.

2. Ponieważ trzeba było koniecznie zrobić Irlandyę protestancką, bo Anglia przy walce wewnętrznej absolutyzmu z wolnością coraz większych od tego kraju obawiała się niebezpieczeństw, gdy się pierwsze środki nie udały, wzięto się do innych. Jeszcze za panowania Elżbiety, po powstaniu lorda Desmond, skonfiskowano 600 tysięcy akrów ziemi w prowincji Munsterskiej, wypędzono z niej Irlandczyków, którzy się musieli udać w dzikie lasy i góry, i ogłoszono w Anglii, że kto chce, może sobie brać w posiadłość te grunta, pod najpierwszym warunkiem, ażeby nie pozwał na nich osiadać żadnemu farmerowi, wyróbnikowi nawet, irlandzkiego pochodzenia. Takim sposobem rozdano przybyłym Anglikom 200 tysięcy akrów. Następnie za Jakóba I po odkryciu spisku, istotnego czy mniemanego, książąt irlandzkich *Tyrone*, *Tyrconela* i *Dogerthy*, sześć należących do nich hrabstw północnych—Armagh, Cavan, Fermanagh, Derry, Tyrone i Donegal zostały zabrane na skarb, co dało znowu 500,000 akrów. A że jeszcze i do zajęcia wielkiej części dawniej skonfiskowanych dóbr nie znalazło się w Anglii ochotników, przypuścił Jakób I do kolonizacji i swoich rodaków, Szkotów.

Nadto, ponieważ obawiano się, ażeby pozbawieni przez Elżbietę ziem Irlandczycy, siedząc w lasach i górach, i odzwyczajwszy się od życia rolniczego, ukryci od pilnego dozoru, nie stali się z czasem niebezpiecznymi, postanowiono tym razem, ażeby nowi właściciele angielscy mieszkali właśnie w leśnych i górzystych okolicach, a ludność irlandzka wywłaszczona pozostała na równinach. Wreszcie, zamiast coby według planu Elżbiety, koloniści angielscy mieli być pomieszani z Irlandczykami, postanowił Jakób rozsadzić jednych i drugich osobno, całemi obwodami niestykającymi się z sobą.

Od Jakóba I więc datuje się początek szkockiej ludności presbyteriańskiej w Irlandyi.

Gdy zaś mało się zdawało królowi ziem dotąd skonfiskowanych, powodów zaś ani istotnych, ani pozornych do dalszych konfiskat nie było, dla ich wynalezienia, przyjął następujący sposób.

W kraju, gdzie od tak dawna panowała anarchia i wojna domowa, musiało być w tytułach własności ziemskich wiele niepewności i nieładu. Wysłano tedy do Irlandyi komisyją prawników dla sprawdzania tytułów własności; a ilekroć te nie były zgodne ze wszelkimi prawnymi formami, zabierano dobra na rzecz skarbu. Skutkiem tego nie pozostało jednego irlandzkiego właściciela, coby był na swej ziemi bezpieczny, a król miał coraz więcej dóbr, które mógł, wypędziwszy z nich katolików, protestantom rozdawać.

Karol I prowadził dalej gorliwie systemat ojca. Za niego cała prowincja Connaught, dotychczas przez konfiskaty i kolonizację nietknięta, została w zupełności przysądzona królowi. Ale, że najśrodsze uciemiężenie Irlandyi nie mogło temu królowi wyjednać przebaczenia u Anglików za arbitralne postępowanie z nimi samymi, na początku zaraz swego rozdwojenia z parlamentem przestał on nagle prześladować Irlandczyków; zapewniał ich nawet, że im dóbr nie myśli konfiskować, i zarzucił wszelkie projekta kolonizacji: wszystko te dlatego, aby w razie katastrofy zapewnić sobie pomoc Irlandyi.

3. Ale od chwili, w której się skończyło prześladowanie króla, zaczęło się prześladowanie ze strony całej Anglii, której istotną i wszechinną władzą stał się odtąd parlament, wierny organ nieublaganej, protestanckiej nienawiści Anglików ku Irlandyi. Z drugiej strony wszystkie niechęci irlandzkie zawrzały tem otwarciej, że miały przeciwko sobie, już nie prawny ucisk królewski, ale władzę uzurpowaną, jawną korony nieprzyjaciółkę, grożącą uciśnionemu katolickiemu krajowi ostatecznym zniszczeniem. Irlandya nie czekała napaści: w Październiku 1641 roku wybuchło powstanie, którego siły w dni kilka, pod wodzą *O'Niela* do 30,000 ludzi wzrosły. Zrazu było ono

niekrawe: powstańcy ograniczyli się tylko odbiorem dóbr skonfiskowanych; ale gdy następnie spotkali opór i kilka porażek ponieśli, zaczęły się dopiero rzezie i okrucieństwa i zemsta granic nie miała. Dwanaście tysięcy protestantów anglikańskich i presbyteriańskich zostało wymordowanych, nie licząc daleko większej liczby tych, co poginęli w bitwach w ciągu kilkoletniej wojny domowej i religijnej.

Parlament angielski uroczystie ogłosił postanowienie zupełnego wytepienia katolicyzmu w Irlandyi. Na koszt tej wojny exterminacyjnej zaciągnięta została znaczna pożyczka, hypotekowana na mających się zdobyć i skonfiskować ziemiach irlandzkich. Takim sposobem rozdano naprzód akcyonaryuszom pożyczki 2,500,000 akrów własności katolickich. Akt parlamentu rozkazał nie dawać pardonu Irlandczykom schwytanym z bronią w ręku. Zdawało się w tej chwili, iż na zniszczenie Irlandyi wyteżyły się wszystkie siły i wszystkie namietności Anglii i Szkocyi. Wysłana została armia z 50,000 ludzi, choć zresztą i przed jej przybyciem znajdujące się w Irlandyi wojska angielskie od samego początku powstania z krwawą gorliwością odpłacały powstańcom, mordując bezbronnych nawet i żadnego udziału w zaburzeniu niemających. Komissarze parlamentu wydali najokrutniejsze i najwyraźniejsze rozkazy wytepienia, pożogi i niszczenia źniw; co wszystko z zacieklą ścisłością było wypełniane. Osobliwie po ścięciu Karola I i ogłoszeniu Rzeczypospolitej wybuchła cała zjadliwość angielskiej i protestanckiej zemsty i nienawiści. Nie oszczędzano nikogo i niczego; łamano nawet otwarcie zawierane z powstańcami w ciągu wojny umowy; nie uśmierzenia i podbicia irlandzkiej ludności pragnęła Anglia, ale poprostu jej wytepienia, i jawnie się do tego przyznała.—Był to głos powszechny narodu.

W końcu 1649 roku dowództwo wojsk w Irlandyi zostało powierzone Cromwellowi, którego imię po dwóch wiekach jeszcze jest okropnem dla Irlandyi wspomnieniem. Wzięcie Droghedy i Wexfordu należy do najohydniejszych scen wojennych dziejów. Mimo to, armia Cromwella była pierwszą w Irlandyi, w której zachowywano surową karność, i która szczerzyła ludność spokojną, szanowała własność, rzetelnie płaciła za wszystko, co było wzięte od mieszkańców na jej potrzeby.

Dzieło zniszczenia posuwało się szybko; z tem wszystkim niepodobna było ciągle mordować, bo i zwycięzcom naprzykrzył się i zbrzydził już przelew krwi, a bezwarunkowe i pokorne poddanie się kraju najmniejszego do dalszych mordów nie dawało powodu. W połowie 1650 roku panowała zupełna cisza w zalanej krwią i umierającej już prawie Irlandyi. Liczba osób, które w tej epoce już za wyrokiem sądowym, za udział w powstaniu śmierć ponieśli, nie przechodzi dwustu, do czego wszakże przydać należy znaczną liczbę księży katolickich, powieszonych jedynie za to, że byli księżmi i że się w kraju znajdowali. Ale ponieważ stanowczym było Anglii zamiarem wykorzenienie katolicyzmu irlandzkiego, przedsięwzięto wtedy dla niemożności zabijania, wypędzać z kraju katolicką ludność, i na nowej już niejako ziemi protestantyzm zaszczerpić. Wypędzić jednak wszystką ludność z kraju, równie jest trudno jak i wymordować ją. Majętniejsi Irlandczycy emigrowali sami; ale biednych nie było gdzie podziąć. Przy wszystkich usiłowaniach, przy wszystkich gwałtach¹⁾ zdołano zaledwie kilkanaście tysięcy ludzi deportować.

Według przybliżonego obrachowania Irlandya od 1641 do 1652 roku straciła ogółem przez bitwy, rzezie, egzekucje, zarazy, głód, emigrację i wygnanie, przeszło pół miliona ludności. Mimo to przecież i mimo ciąglej napływu protestantów, przybywających dla objęcia skonfiskowanych własności, okazało się w końcu, że ludność katolicka jest jeszcze ośm razy od protestanckiej liczniejszą: rezultat wcale niezadawalający po kilkunastoletnich okrucieństwach.

Nie mogąc dopiąć swego celu, ani przez rzezie, ani przez deportacje, wzięła się Anglia do osta-

tniego środka, jaki jej pozostawał. Z czterech prowincyj składających Irlandyę postanowiono trzy całkowicie z katolików oczyścić i pospędzać ich do czwartej, a mianowicie do prowincyi Connaught, z dodaniem jej hrabstwa Clare; tak, iż rzeka Shannon stanowiła przedział katolickiej od protestanckiej ludności. Przekroczenie tej rzeki było katolikom pod karą śmierci zabronionem, i zabicie Irlandczyka na lewym brzegu Shannonu, przez kogokolwiek bądź, nie stanowiło nawet materii do procesu sądowego. Aby jednak takie nagromadzenie ludności katolickiej w jednej prowincyi nie stało się niebezpieczeństwem, postanowiono wszystkie jej miasta zaludnić protestantami, wypędziwszy z nich wprzód wszystkich katolików, chociaż ci katolicy, mieszkający miast prowincyi Connaught, byli prawie wyłącznie angielskiego pochodzenia. Podobnie jak w pierwszych wiekach podbijania Irlandyi Anglicy wypędzali z miast krajowców, tak teraz protestanci wypędzali katolików; potomkowie tych, co wykonywali niegdyś tyranią zdobywców, stali się teraz sami ofiarą tyranii religijnej.

Po takim tedy pozbyciu się mniej więcej katolików z trzech części Irlandyi nastąpiło ogólne dzielenie ziemi między protestantów; tu dopiero otworzyło się pole wszystkim chciwym żądom zdobywców i wszystkim instynktom podłości, jak poprzednio wszystkim instynktom okrucieństwa. Ziemię dostały się głównie żołnierzom Cromwella, i akcyonaryuszom owej pożyczki na prowadzenie wojny zaciągniętej.

Takim sposobem wszystka własność i wszystek przemysł przeszły w ręce protestantów; katolicka Irlandya była jakby zatracona. Zdawało się, iż spełnił się nad nią wyrok śmierci, który Anglia wyrzekła.

4. Powrót Stuartów na tron angielski obudził w Irlandczykach nadzieję odzyskania własności i praw; ale się wkrótce przekonali o ich płonności; Karól II nie odstąpił od polityki swoich przodków i potępił katolickie wyznanie, zawiesił wolność osobistą i, ażeby się Irlandczycy sprawiedliwości nie dopominali, zabronił im bezwarunkowo kraj opuszczać, i kazał więzić tych, co go śmieli w Londynie prośbami niepokoić. Zatwierdził też wszystkie zabory ziem za Cromwella dokonane, ogłosiwszy buntownikami katolików, którzy w nadziei reakcyi i wśród trwogi, jaka między nowymi właścicielami panowała, za powrotem króla, nie czekając upoważnienia, *proprio motu* w posiadanie dóbr swoich byli weszli¹⁾. Dla jakiejś takiej jednak sprawiedliwości ustanowiona została kommissya mająca rozstrząsać prawa katolików, niesłusznie wywłaszczonych, z wyraźnem wszelako zastrzeżeniem, że wrazie uznania niowinności Irlandczyka, wrócenie mu majątku może nastąpić dopiero wtedy, gdy dla posiadającego tenże majątek protestanta zostanie obmyślone stósowne (w ziemiach także) wynagrodzenie. Lubo ta kommissya z samych się protestantów, nieprzyjaciół Irlandyi, składała, mnóstwo przecież katolików podało swoje reklamacje, które w znacznej liczbie zostały uznane za słuszne. Powstały zewsząd krzyki przeciwko papizmowi, i rząd, miarkując z ilości zapadłych już wyroków uniewinniających, że jeżeli kommissya dalej będzie czynną, to zabraknie ziemi na wynagrodzenie protestantów, którzy będą musieli uniewinnionym katolikom ustąpić—nagle zawiesił jej czynności.

Parlament irlandzki, złożony, naturalnie, z samych protestantów, zatwierdził te wszystkie rozporządzenia, wydawszy jeszcze nowe: a mianowicie że nikt nie może być reprezentantem, kto nie wykona przysięgi na kościelną zwerchność króla.

Tak postępował z Irlandyą Karól II-gi, mimo szczerze swoje katolickie sympatyje, mimo powzięty zamiar wrócenia dawnemu kościołowi, jeżeli nie przewagi, to przynajmniej równiej z protestantyzmem swobody—co nawet był na początku obiecał. Nie od niego wszakże zależało dotrzymanie podobnej obietnicy:—wróciwszy na tron jedynie w skutek reakcyi anglikańskiej i presbyteryań-

¹⁾ Za Jakóba I miasto Galway nie mogło znaleźć miera, bo nikt nie chciał wykonać przysięgi na kościelne zwierzchnictwo króla.

¹⁾ Naprzykład w 1655 roku porwano od razu z łona rodzin do tysiąca samych dziewcząt irlandzkich i wywieziono je do Jamajki, gdzie zostały w niewolę zaprzadane.

¹⁾ Tymczasem w Anglii wszystkie skonfiskowane przez rewolucyjną i Cromwella majątki zostały dawnym posiadaczom wrócone, choć je skarb był sprzedal (irlandzkie ziemie po większej części rozdawano).

skiej przeciwko Niepodległym, musiał się powo-
wać jej duchem; Anglikanie zaś i prezbiterianie
nie mniej od Niepodległych, nienawidzili katoli-
cyzm, i najłżejsze jego tolerowanie byłoby arcy-
niebezpiecznym krokiem: raz, że głęboko obraża-
łyby namiętności epoki, powtóre, że byłoby zgwał-
ceniem praw istniejących. Daremne były rozma-
te wybiegi króla dla ulżenia katolikom; ażeby się
na tronie utrzymać, musiał on być przesładowcą
Irlandyi. Zresztą trzeba tu dodać, że ciemnie-
nie Irlandczyków daleko mniej kosztowało Karo-
la II, aniżeli wymuszona surowość względem ka-
toliców angielskich, o których mu głównie cho-
dziło. Los Irlandyi nigdy nie obudzał wielkiego
współczucia w Anglii i jej monarchach; i bardzo
być może, że, znajdując się w konieczności prze-
śladowania katolicyzmu, chętnie je wykonywał
Karol II w Irlandyi, mając nadzieję, iż im się
tam gorliwszym okaże, tem mniej będą od niego
wymagali surowości względem katoliców angi-
elskich. Tak to Irlandya była dla Stuartów albo
narzędziem przeciwko Anglii, i wtedy wszystko
jej obiecywali, albo ofiarą, którą starali się okupić
despotyczne zamachy przeciwko angielskiej wol-
ności, dogadzając angielskim nienawiściom. Po-
dłości Karola II najoczywistszym jest dowodem
osobisty jego udział w łupieży nieszczęśliwej Ir-
landyi; faworyt jego Ormond otrzymał od niego
na 1,800,000 fr. rocznego dochodu skonfiskowa-
nych dóbr; książę Yorku także miał sobie darowa-
ne ogromne ziemie w Irlandyi, i wielu dworzan
i sług królewskich z bogactwami z tej samej gra-
bieży. Do takiego postępowania, zdaje się, iż za-
dna konieczność nie zmuszała Karola II.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

(Dalszy ciąg)

Panu *Wandalinowi Strzałeckiemu* pierwsze mie-
siące pobytu w Monachium dobrze posłużyły.
Zmierzył on tam swoje chęci siłami i poznał wi-
docznie czego mu brakowało. Pierwsze nadesła-
ne z tamtąd prace: „Polowanie z epoki Zopfu“,
„Wyjazd na wojnę“, „Polowanie z sokołem“
świadczą już dobitnie o wyrabianiu się zdolności
artystycznej i otrzeźwieniu chorowitej fantazy
rzucającej się z płochością dylletantyzmu na niwę
kaprysów pędzla, pozbawionych ładu, miary i roz-
sądku. Dzisiejsze jego obrazy, chociaż nie nace-
chowane jeszcze prostotą i zdradzające nieje-
dnym rysem, że duch swawoli artystycznej mo-
zoliwie ledwo dał się opętać, a nie ugiął się jeszcze
stanowczo, zdradzają już wszelako znamiona
szkoły i stylu, obierają motywa jasne i nie prze-
ładowują głównej myśli pstrą tandetą wyrafino-
wanych konceptów, pozbawionych prawdy i pię-
kna. Tego właśnie wytrzeźwienia potrzebował
talent p. Strzałeckiego, bo zresztą jest w nim tyle
czerstwej siły, tyle bujnej, oryginalnej wyobraźni,
tyle daru malowniczego i werwy kolorystycznej,
że doprawdy żal było patrzeć na marnowanie się
takich zdolności. Wszystkie trzy obrazki, na
które wskazaliśmy, a zwłaszcza dwa pierwsze,
są bardzo ładne, pełne estetycznego smaku
w układzie, urozmaicenia i ruchu, świeże i efek-
tywne w kolorycie, wytwornie cieniowanym.
P. Strzałeckie wyrobił sobie czasami specjalność
w malowaniu scen łąkowych na tle rodzajowo-
historycznym, w czem dopomocze mu gruntowniej-
sze przestudiowanie rozdziału o kostiumach i rzad-
ki dar kolorystyczny. Efektem barwnym jego
najnowszych obrazów (o dawnych zapomnijmy!)
braknie jeszcze nieco prawdy, ale niepodobna nie
przyznać im rzadkiej plastyki i świeżości, gustu
i dystynkcji. Figury zawsze jeszcze błędnie ry-
sowane i trochę sztywne, konie przemędrkowane

w trudnych skróceniach linii, a tem samem wa-
dliwe częstokroć w budowie; ale są to rzeczy do
poprawienia i rozwinięcia. Kto tak szczęśliwie
poskromił w sobie ducha „burzy i wywrotu“ jak
p. Strzałeckie, ten potrafi nakładem szczerzej pracy
pokonać wszystkie braki dotychczasowe improwi-
zowanej techniki.

Józefa Chelmońskiego: „Powrót z polowania“ na-
leży do rzędu utworów dzielnego artysty najszcze-
rzej odczuty. Jaka tu werwa i prawda, jaki
temperament i polot! Rwęce bystro rumaki wpo-
śród zasy pniej, figury myśliwych doskonale
scharakteryzowane i ubrane, atmosfera burzliwa
i w tumanach siekającego w twarz śniegu zanu-
rzona, łączą się w całość pełną expressyi
i porywającego wrażenia. Nieraz widzieliśmy
ten obraz w kraju i zagranicą, a zawsze powra-
camy do niego z szczerem upodobaniem, jako do
rzeczy wolnej od maniery i wybornie tłómaczą-
cej naturę.

Edmunda Perlego „Dzień zaduszny“ nie dorósł
wartością kilku ostatnich obrazów tego artysty.
Kompozycyi braknie żywiołu fantazyi, bez któ-
rego sceny cmentarne, obliczone na wywołanie
w nas uczucia rzewności i smutku, obejść się nie
mogą. Te jednostajne głazy, symetrycznie nieo-
mal ułożone i ciągnące się w monotonnej per-
spektywie, nie tworzą malowniczych motywów,
a pejzaż zamała gra rolę w obrazie. Cały przeto
układ wydaje się niesmacznym, a gdy dodamy, że
artysta nie powiodło się stworzyć atmosfery me-
lancholijnej, wypadnie z tego, że mamy przed so-
bą wiernie odfotografowany wizerunek jednego
cmentarzyska żydowskiego, ale nie odbieramy
wrażenia cmentarza w idealnem rozszerzeniu i po-
głębieniu tego pojęcia. Kobieta w czarnej suk-
ni, kłęcząca na jednym z grobów, jest modelem
trafnie pochwyconym typu semickiego; przesadny
jednak realizm w uwydatnieniu płaczliwego na-
stroju fizjonomii, pozbawia tę postać estetycznej
sympatii widza, jest ona prawdziwą, ale trywial-
nie-brzydka. Jak pomysł, tak i wykonanie obra-
zu pozostawia niejedno do życzenia: traktowanie
innych figur powierzchowne i niesmaczne; natura
malowana grubo, ciężko i — banalnie, nigdzie
śladu artystycznego temperamentu ani subtel-
niejszego traktowania motywów kolorystycznych.
Sąd nasz ujemny o najnowszej pracy p. Perlego
nie powinien zrażać utalentowanego artysty, któ-
ry w ostatnich czasach parę razy już stwierdził
wytworniejsze zalety pędzla i żywsze poczucie
natury.

Pana *Włodzim. Łosia*: „Na polowaniu“ nie celuje
świeżością pomysłu, ale ma kilka postaci typow-
ych i wiele expressyi i światła; charakter pejza-
żu ukraińskiego dobrze zachowany, a rola w bruz-
dach orką wyłobionych zajmująco i oryginalnie
malowana. Mniej artystycznych szczegółów li-
czą dwa obrazy *Józefa Brodowskiego*: „Zamysłona“
i „Zmiana kwatery jazdy w XVII wieku“. Pierw-
sza kompozycja przedstawia amazonkę, która,
zsiadłszy z konia, stanęła nad przepaścią głębo-
kiego jaru i rzuciła spojrzenie smętne, zadumane
w przestrzeń. Koń o wydatnych kształtach, ener-
gicznie malowany, wtóruje smutną melancholią
swej pani. W pejzażu uderzają ładne szczegóły,
zwłaszcza w rzucie światła na murawę wzgórza,
całość jednak chłodna, sztywna i pospolita. „Zmia-
na kwatery“ ma sytuacją dobrze pomyślaną i ob-
fitą w szczegóły; wszakże wyciągnięta linia szyku
kawalerskiego jest nieestetyczną, o ile nie bu-
dzi zajęcia dosadniejszą charakterystyką ludzi
i koni. Koloryt mdły i oschły.

W dziedzinie pejzażu, oprócz kilku stereotypo-
wych kompozycji *Wastkowskiego* witamy z roz-
koszą parę ślicznych nowych prac *Wł. Maleckiego*.
Już w „Poranku na Saskiej Kępie“ owiewa nas
świeży, czerstwy prąd powietrza; czujemy atmo-
sferę pełną wilgoci, rosy i woni zielnej; efekto-
wna barwność, siła kolorytu, harmonia kontra-
stów, życie natury bujnym technieniem i żywym
blaskiem wylewają się z uroczego płótna. Owiele
jednak wyższą wartość ma: „Konwój taboru“. Oddział
kawalerii z furgonami wjeżdża gościń-
cem w gęstwinie lasu, wzbijając tumany kurzu
pod kopytami końskimi. Nalewo wysmukły las
spływa lekką falą w zarośla i moczary, a w da-
li otwiera się szeroki widnokrąg. Piękny-to

obraz, odczuty gorąco i żywo, malowany biegłą
techniką, pełen motywów gustownych i wytwor-
nym pędzlem oddanych. Artysta doskonalni się
z każdym nowym obrazem, pozbywa się mniej
szczęśliwych nawyków i coraz głębiej wnika
w ducha przyrody; obraz ten należy do rze-
du lepszych prac malarskich rodzimego pędzla
w ostatnich kilku latach, dzięki zarówno polotowi
estetycznej fantazyi, w układzie, jak wykonaniu,
pełnemu znamion gruntownych studyów i artysty-
cznego pocucia. Przy nim postawić można chy-
ba smętny, ale porywający siłą i prawdą wyrazu
pejzaż p. *Zygmunta Sidorowicza*: „W lesie“.

Pazi Nadzieja Pane po kilku dotkliwych niepowo-
dzeniach, jak „Pałac Łazienek królewskich“, albo
„Wenecja przy świetle księżycy“, wystąpiła zno-
wu z pracą, posiadającą istotne zalety. Jej „Ponte
dei sospiri“ zajmuje żywo efektami światła i na-
der zręcznem a estetycznem traktowaniem moty-
wów architektury. Jestto obraz pod względem
samodzielnej techniki kolorystycznej poważnie
się zalecający. W obrazie p. *Romana Kochanow-
skiego*: „Stare koryto Wisły“ dużo jest ciepła
i duszy; nie radzimy wszakże artyście choro-
wać na anemię w kolorycie; gdyby to malo-
wanie mdłymi farbami, ten brak cieniowania miał
przejść u pana K. w manierę, wartość jego talen-
tu i nadzieje na przyszłość znaczenieby się obni-
żyły. A szkoda! Bo oto „Wiejska pasterka“,
tuż obok zawieszona, dowodzi, jak wiele rokować
sobie można z rozwoju zdolności p. Kochanowskiego.
Układ, tebnący miłą prostotą i dobrym smakiem,
wdzięk barwny, harmonia kolorytu, dobrze po-
chwycony charakter swojski pejzażu i sytuacji:
wszystko to wiąże się w nader ujmującą i arty-
stycznie odczuta całość.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE

Teatr.—Nowe sztuki i reklamy, niebezpieczna ich strona.—Ale-
xander Dumas i jego *Księżniczka z Bagdadu*.—Zkąd idzie po-
czątek tej sztuki?—*Les Grands enfans*, Gondinet i d'Arlha-
ca. Scenarium „Księżniczki z Bagdadu“ w głównych zary-
sach.—Sztuka Dumas i jej przedstawiciele.—Rola panny Croi-
zette.—Przesada autora i artystów.—Zniechęcenie publiczności.
Pierwsze przedstawienie i upadek.—*Nana*, dramat przerobiony
z romansu p. Zoli.—Powodzenie i oklaski.—Dlaczego?—Pan
Sardou w Palais Royal.—*Rozwiedzmy się*, komedya w 3 aktach.
Powodzenie sceniczne.—Jaki jest układ tej sztuki?—Jakie jej za-
lety i wady?—*Jack* dramat, przeróbka z powieści Alfonsa Dau-
deta. Upadek.—*Michał Strógow*, z powieści Verne'a.—*Gar-
ribaldi*, dramat, przez aptekarza (!) Bordone.

Paryż, w Styczniu 1881 r.

Zdawałoby się, że kiedy autor dojdzie do takiej
wziętości, jak na przykład Alex. Dumas, nietylko
zbyteczną, ale w pewnym względzie uwłaczającą,
jest dlań rzeczą reklama. Takbyśmy sądzili my:
tutaj rzecz ta uważa się inaczej, bo ludzie zapar-
trują się na nią z innego punktu. Mamy świeży
dowód na to. Jakiżto zaczęto mówić pod koniec
roku zeszłego, że Dumas gotuje nową sztukę dla
Teatru Francuzkiego zaraz przychylne dzienniki
wystąpiły z reklamą, która wystosowaną była wi-
docznie, tak dla interesów antreprzy teatralnej,
jak i samego autora. W tym bowiem względzie
autor i antreprzy są nierozdzielni.

„W Poniedziałek, 8 Listopada, o godzinie 3-iej
z południa, Dumas czytał komitetowi Teatru Fran-
cuzkiego nową swoją sztukę, komedią w 3 aktach.
Czytanie to trwało półtorej godziny. Dotąd jedna
tylko rola jest oddaną: *Lionetty*, pannie Croizette.
Dotąd sztuka nie ma innego tytułu nad imię tej
osoby głównej; a rola kobiety w tej sztuce, ogra-
nicza się do tej jednej osobistości. Inne role będą
rozdane później. Powiadają—dodaje tajemniczy
reporter—że tu jest pełno, pełno aktualności. Jest
to paryżki dramat w komedyi!“

Po tej króciutkiej odezwie, którą wszystkie po-
wtórzyły dzienniki, Paryżanie wpadli na trop
nowej zagadki i przez dni piętnaście o niczem nie
mówiono — tylko o nowej sztuce. Każdy, udając
najlepiej zainformowanego człowieka, niesłychane

rzeczy wymyślał i rozgadywał w ten sposób. Cel antreprzyzy i autora osiągnięty został.

W miarę, jak się pierwsze przedstawienie sztuki zbliżało, drobne, ale coraz-to nowe dodatki wiązały się z nią tego pierwszego kłębka, a nakoniec, w wigilię przedstawienia, przyjaciele i służba reklamy wystąpili z następną odezwą, która miała tę niezmierną zaletę, że reklamowała zarazem dla Dumasa i dla pp. Gondineta i d'Arlhaca. Jest to co się zowie strzał podwójny—niezmiernie ceniony na tutejszym bruku, gdzie się więcej uwija bekasów, niż na jakiejś polskiej rzudzie. Chodzi tu rzecz o nową sztukę Dumasa, która ostatecznie ma za tytuł: *Księżniczka z Bagdadu*, i o komedię tych dwóch ostatnich autorów *„Les Grands enfants“*.

Otóż ten p. Arlhac, mało komu znany człowiek, ma być prawdziwym wynalazcą. Krzysztofem Kolumbem, jednej i drugiej sztuki, a to w następny sposób. Skleciwszy mniej więcej porządnie to, co się dziś nazywa *„Les grands enfants“* (Vaudeville) i szukając patronatu sławnego jakiego dramaturga, pod którego opieką sztuka mogłaby wejść na jaką scenę paryżką, udał się naprzód do p. Gondineta, a następnie, za jego poradą, do Dumasa. Ten ostatni, przeczytawszy komedię d'Arlhaca, powiada mu:

— Chciałeś pan dowieść, że dzieci ratują i godzą rodziców—jest to rzecz bardzo dramatyczna i ludzka. Ale, czemuż nie starałeś się posunąć swojego zadania aż do ostatniej jego konsekwencji, pokazując nam dziecię wyrwywające, dosłownie, matkę z objęć kochanka?

Tu Dumas miał niby rozwinąć przed oczami d'Arlhaca i wytłómaczyć mu całą tę mistrzowską scenę, która się nagle zrodziła w jego umyśle i która, gdy ją później napisał, dziś tworzy ostatnią scenę „Księżniczki z Bagdadu“.

— Hm! — odpowiedział niby na to zadziwiony nieco d'Arlhac — piękne to bardzo, ale to zmienia całkowicie mój przedmiot, i z komedii prowadzi mnie wprost do dramatu, o którym ani myślałem. A potem, wydaje mi się to rzeczą zbyt ślizką, zbyt niebezpieczną¹⁾.

— Niema nic bardziej ślizkiego i niebezpiecznego, niż rzeczy powszednie i oklepane. Ale nie chcę ci narzucać mojego zdania; wspomnij pan zresztą o tem Gondinetowi, ponieważ on to ma ostatecznie przejrzeć pańską sztukę.

Czy d'Arlhac powiedział o tem Gondinetowi, czy nie? niewiadomo dzisiaj, mówi reklama. Słowem, przeszłego lata Dumas, będąc w Puys (około Dieppe) pytał p. Deslandes, dyrektora Teatru Vaudeville'u:—Jaką też sztukę ma zamiar tej zimy dawać w swoim teatrze?

— Komedię Gondineta i d'Arlhaca, odpowiada tamten. — A! powiada Dumas: *Les Grands enfants*. Jest tam owa piękna i nowa scena, nieprawdaż? pomiędzy dwoma panami, w której mąż rozwiedziony z żoną, Rumun jakiś, czy co? spotkawszy człowieka, który się z nią ożenił i wychował jego syna, a raczej syna swej żony z pierwszego małżeństwa, czuje nagle budzące się w sobie uczucie rodzicielskie, stając w obronie dziecka, z którym mąż (drugi), ów to Rumun, obchodzi się nieludzko!

— Nie—odpowiedział mu p. Deslandes—niema bynajmniej podobnej sceny w tej sztuce.

— Jakto—więc oni jej nie umieli wcale!—Zawolał Dumas. I wówczas to, myśl jego, wracając do tej sytuacji, która mu się wydała od początku tak dziwnie dramatyczną—myśl ta, powoli, powoli, rozszerzała się coraz i coraz-to więcej; w głowie dramaturga powstał cały świat tworzących się kombinacji i stosunków, i jakby z rozwijającej się mgławicy, występowały widma o coraz-to wyraźniejszych kształtach; aż nakoniec, z tych dwóch ludzi z komedii d'Arlhaca powstały: kobieta, dzieci i jegomość ten, ów to trzeci złoczyńca, który wypełnia sobą całą, niepewną dotąd część przestrzeni w dramacie i w życiu. Dumas, będący wówczas w gościnie u swoich przyjaciół, jak mówiłem, w okolicach Dieppe, zabrał się do pisania i w siedm dni — jak stworzenie świata wraz z wypoczynkiem! — powiada przychylny reporter, to jest referendarz reklamy — myśl stała się dzie-

łem, które komedia francuzka przedstawi i które będzie prawdziwym, literackim zjawiskiem tego roku!

— Tak, w siedm dni ją napisałem — mówił Dumas jednemu ze swych przyjaciół, a muszę dodać, że rozmachawszy się, napisałem w jednym akcie do dwudziestu stronicznych, które usunąć musiałem później.

— A cóż-to jest, ta twoja „Księżniczka z Bagdadu“—pytał go ów to niedyskretny przyjaciel.

— To poprostu: córka królewska.

— A jakiegoż to króla?

— A, tego już nie wiem.

Aby dopełnić tak ładnie urządzonej reklamy, trzeba było dodać coś jeszcze i dla samego Teatru. Opowiada więc dalej, pod wielkim sekretem, że rolę dziecka w tej sztuce odegra młodzieńka Zuzanna Aumont, którą cały Paryż niedawno admirał w Teatrze *du Châtelet*, w dramacie *Piękny Solognac* i w sztuce dekoracyjnej *Zbieg „La Fugitive“*. Dziweczka, pieszczona przez Dumasa, który jej zawsze na próby przynosi cukierki, i przez jego córkę, panią Lippmanową, która ją śliczną obdarzyła lalką, odegrywa swoją rolę z niesłychanie dojrzałym talentem i w dziwnie poruszający sposób ma wymawiać, przy końcu sztuki, kilka wyrazów, które *wywołują niechybnie*, owe to „słodkie lzy“, wspomniane przez Sterne'a. Dzieweczka zresztą jest tak pojętna i rozumna, że Dumas mógł jej, również jak pannie Croizette, powiedzieć: „Graj swoją rolę, jak sama czujesz; ja nie śmiem się nawet mieszać do tego!“

Cóż to-by jeszcze mógł dodać biedny nasz kronikarz? Co my możemy wymyślić w porównaniu do takich hec wyobraźni? Chyba, abyście zaraz przetłómaczyli tę sztukę, która wbrew zwyczajowi Dumasa, w chwili przedstawienia, a niżej zobaczymy dlaczego? była już na sprzedaż u wszystkich księgarzy Paryża, a przetłómaczyszy, abyście dali mi polecenie napisać podobną do tej reklamę, dla naszej warszawskiej sceny, dla naszych artystów i dla... tłómacza.

Spojrzymy teraz na odwrotną, to jest prawdziwą stronę tego medalu. Zobaczymy: co jest to nowe dzieło Dumasa i jak je przyjęła publiczność i dlaczego?

A najprzód zapytajmy, jak ów przyjaciel Dumasa: Kto-to jest ta księżniczka z Bagdadu? albo raczej: co to jest? bo to lepiej i dosadniej tłómaczy ten znak zapytania. Na co Dumas nie odpowiedział, my odpowiedzieć możemy dzisiaj, wysłuchawszy tej sztuki.

Otóż ta księżniczka z Bagdadu — jestto jakby pieszczotliwy przydomek, którym przyjaciele i poufali przezywają hrabinę Lionettę de Hun. Zkąd poszło to dziwne przezwisko? Oto z kolebki tej pani, której los nakazł być dzieckiem miłości królewicza, prawdziwego królewicza z Północy, i rozpustnicy z ulicy Traversière w Paryżu.

Nie myślcie jednak, aby to był przedmiot tej sztuki: nie; dowiadujemy się o tej dziwnej a zagadkowej dla sztuki genealogii z długiego, rozwlekłego i zupełnie niepotrzebnego opowiadania w pierwszym akcie, jednego z poufale przyjaźni tego domu waryatów, przez niejakiego Gudlera, coś naksztalt tego, co my nazywamy popolsku: *pół psa—pół kozy*. Najwięksi przyjaciele Dumasa uważali ten epizodyczny ustęp za rzecz zbyteczną, a chrząkania publiczności i świsty potwierdziły i podkreśliły to zdanie.

Sztuka prawdziwa, jej treść i zawizek są następujące: Jakis graf de Hun, jakich tu niemało, szlifując bruki paryżkie, poślubił Lionettę, piękną i zalotną, poślubił z miłości pomimo opór rodziny, dlatego, że kochał, powiada autor, a my i publiczność domyślamy się, że dlatego, iż papa królewicz zostawił w fartuszkach jakieś okrucieństwa z korony... Dowiadujemy się i o tem zresztą ze sztuki, bo autor nam powiada, że matka hrabiego wydziedziczyła go, umierając, a piękna Lionetta, poślubiona z prawem podziału majątku, w kilka lat strwoiła te kilkakroć sto tysięcy zostawionych przez papę.

Tak więc hrabiostwo są zruinowani—i starają się, jak tu powiadają, ze starej kamizelki zrobić nowy surdut, albo, według autora, zlikwidować przeszłość i ocalić honor — zawsze ten honor! aż

ekliwo się robi... Zlikwidować, to jest zostać bez szeląga... a potem? „Potem, powiada Lionetta, zostawić tyle, żeby było zaco kupić węgla i oszczędzić sobie okropności wstydu i nędzy“. Oto jest filozofia brukowa paryżka; dwa srodki pod ręką: albo otchłań Sekwany, albo gaz węglowy. To są podwaliny, na których spoczywa nowa społeczność. Jest to Omega, która likwiduje wszystko. Znajdujemy dalej i wytłómaczenie tej rezygnacji hrabiny. Pani ta wyniosła ze śmietnika matczynego wychowania zasadę jedną: żyć i używać, bez wiary, bez uczucia. Piękne to zwierzę obojętne jest na wszystko, oprócz na pieniądze, który daje możność użycia; obojętne dla męża, obojętne dla syna, dla małego dziesięcioletniego Raula, byleby pozory były ocalone — reszta, jak to zwykle bywa, nie wchodzi w rachunek.

Przeciwnie p. hrabia jest zakochany i zaślepiony, jak w pierwszych dniach miłości — zagorzał jak kot, zazdrosny jak Otello, a ma wielkiego przyjaciela domu, jest nim Węgier Nurvady. Ten Nurvady jest niezmiernie bogaty człowiek, i hrabia, podejrzewając go o zbyt wielką admirację dla swej żony, nie bez przyczyny obawia się niebezpiecznych następstw, w okolicznościach szczególnie tak przykrych, w jakich się znajduje, co do kwestyi pieniężnej.

Podejrzenia hrabiego nie są wcale bezzasadne. Nurvady, któremu ojciec, bankier, zostawił przeszło 40 milionów, pod maską obojętności powierzchownej ukrywa najgwałtowniejszą namiętność, której przedmiotem jest właśnie żona hrabiego, a ośmielony i tem, na co patrzy w tym domu i obchodzeniem się pięknej hrabiny, naraz odzywa się do niej w te słowa:

„Przejeżdżając raz przez Pola Elizejskie, zdaje mi się zauważyłaś pani nowo budujący się pałacyk; nabyłem go, kazałem ukończyć; od dziś jest on własnością pani. Powozy gotowe stoją w wozowni; służba czeka w przedpokoju. W salonie na stoliku znajduje się skrzynka, w tej skrzynce złożony jest w złocie milion; oto jest klucz od domu. Jutro dzień cały tam będę, pojutrze noga moja nie postanie w tym domu, chyba gdy sama pani każesz mi przyjść albo pozostać“. Hrabina bierze klucz, który Nurvady położył na stoliku, i w milczeniu ciska go przez okno... „Pozwoli pani, abym jej zrobił małą uwagę, mówi dalej z krwią zimną Nurvady, to okno wychodzi na jej ogród, i łatwo jej będzie ten klucz odnaleźć, skoro jej przyjdzie fantazyja“. — „Bezczelny!“ — rzuca mu ze wzgardą odwracając się hrabina.

Ale Nurvady, który ma swój plan i drogę wytkniętą, nie poprzestaje na tych oświadczeniach; wie on, że hrabina ma długie, i to długie krzyżące, a Bóg sam wie tylko, jakie mogą być długie damy wielkiego świata, lubiącej wystawę i stroje — opłacił cichaczem wszystkich dostawców... Hrabia de Hun, dowiedziawszy się o tej szczodrości uwłaczającej p. Nurvadego, wpada we wściekłość i wyrzuca swej żonie jej prowadzenie się haniebne i amanta, którego ona nie ma i mieć nie chce. — „Głupi!“ — mruczy pod nosem pani hrabina, za całą odpowiedź, patrząc ze smutkiem na męża.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRASSA W AMERYCE

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dokończenie, ob. Nr 8).

W parę miesięcy później przedstawiłem mu pracę opartą na źródłach autentycznych, sprowadzonych nie bez trudu i wydatku. Rzucił okiem na tytuł i oddał mi manuskrypt.

— Rzecz po czasie, — rzekł, — traktujemy ją już tylko w krótkich paragrafach. Masz pan co nowego? Jeśli masz, stresć w kilku albo kilkunastu wierszach i przyslij. Nasze gazety są jak wachlarze. Każdą rzecz świeżą rozwijamy

1) Jak się pokazuje, ten p. d'Arlhac miał dobry węch.

aknajszerzej, wyzyskujemy z błyskawiczną szybkością, a potem składamy. Teraz zajmują naszą całą uwagę sprawy irlandzkie.

Audienca była skończoną. Odtąd noga moja w jego redakcyi nie postać....

Yankee jest najciekawszą istotą dwunożną na kuli ziemskiej. Oddałby mienie i życie, żeby zobaczyć sławną osobę, rzecz nadzwyczajną, wszystko, o czym świat gada. Przed powstaniem dziennikarstwa w formie teraźniejszej, jego ciekawość natrętna oburzała znakomitych cudzoziemców. Dickens, w Amerykańskich Zapiskach, zostawił obrazy prześladowań, jakie wycierpiał ze strony gapiów. Gdyby tenże autor teraz po kraju podróżował, dostrzegłby zmianę pochlebną w charakterze jego ludności. Ona już nie czatuje na gościa nadzwyczajnego i nie oblega jego hotelu, celem dowiedzenia się każdego szczegółu o jego powierzchowności, zwyczajach i śmiesznościach, ale powierza dostanie języka specjalnej klasie dziennikarzy, zwanej *interviewers* i oczekuje spokojnie, z zaufaniem, że jutrzejsze gazety daleko więcej wypaplą, niżby sama się dowiedzieć mogła. Ta, bezczelna, w lot stenografująca każdy wyraz niebaczny, indagująca, do uzupełniania podsłyszanych słówek utworami własnej, płodnej wyobraźni skłonna, rzesza gazeciarska będzie tak długo potrzebna, jak długo nienasycona, dziecinna prawie, ciekawość będzie jednym z rysów amerykańskiego charakteru.

Inną uderzającą wadą gazet tutejszokrajowych jest ich zwyczaj opisywania każdej katastrofy przerażającej z najdrobniejszymi szczegółami. Wypadek kolejowy, pożar ze stratą życia połączony, zbrodnia niezwykła, powieszenie nędznego mordercy: dostarczają im treści do sensacyjnych artykułów, poprzedzonych kilkunastu tytułami, w całowych, tłustych literach i w obłoku wykrzykników. Prassa utrzymuje własnych detektywów, celem wydobywania na jaw każdej tajemnicy z wypadkami powyższego rodzaju połączonej, a tacy detektywi i reporterzy nieraz już więcej wykryli i dzielniej sprawiedliwości usłużyli niż tajna policja urzędowa. Ich do naturalizmu posunięty realizm w malowaniu zdarzeń brutalnych szpeci niejedną gazetę. Z drugiej strony prassa amerykańska nie ma zwyczaju, nakształt angielskiej lub francuskiej, rozpraw sądowych z t. z. *causes célèbres* dosłownie powtarzać, ale je krótkimi paragrafami zbywa. Żadna z nich także oprócz jednego „N. Y. Herald“, nie przyjmuje inseratów małżeńskich, jakich pełno w wiedeńskich i berlińskich czasopismach, ani nawet ogłoszeń lekarzy specjalistów i t. p., tolerowanych w naszych gazetach.

Jest tu prassa skandaliczna, jak wspomniałem, zatruwająca młode umysły półśłówkami przezroczystymi i obrazkami podlegającymi wyobraźni, której ostrze prawdy i krytyki nie uszkodzi, jak nie można przebić potwornej, galaretowatej istoty morskiej, której dotknięcie piecze, ale nawet w niej nie znalazłem nigdy równieśników pism paryżkich i wiedeńskich podobnego rodzaju, a mniej stosunkowo ludzi ją czyta. Zresztą widzę dziennikarstwo, z którego spiż i żelazo wypierają kruszce szlachetne. Uczciwości i niezależności pieniężnej wielu z tych bogatych organów nie wątpię, bo gdyby cień podejrzenia padł na który z nich, że się sprzedaje, straciłby więcej u publiczności niż niegodziwością zarobił. Najlepsze z nich, nieskażone, zaufane w zdrowe popędy ogółu czytającego, są kierowane przez ludzi, co nakształt górali na wyżynach dalej wzrokiem od rzeszy w dole sięgają i brzask widzą prędzej, nim zadnieje w padolach. Zgadując wznioślejszy, czytszy nastrój przyszłych pokoleń, przepowiadają ostróżnie reformy administracyjne, poskromienie demagogów, świt patriotyzmu w massach, oraz wiele innych rzeczy, do których pożądanie naród jeszcze nie dojrzał. I tak, gdy większość Amerykanów hołduje zasadom cła ochronnego,

a każdy demagog pnący się do urzędu musi się z tem liczyć, prassa przychyliła się do zasad wolnego handlu, ale wyraża tę przychylność nieśmiało, bo praktyczny redaktor amerykański nigdy się nie waży ciągnąć czytelników za sobą, lecz raczej nakształt potężnego ministra w parlamencie, woli być ich towarzyszem, kiedyniekiedy łagodnie kierunek najlepszy pokazującym.

Wieczna walka między żywiołem światła i ciemności tak samo się w prassie, o której mowa, toczy, jak w każdym społeczeństwie, jak w każdym sercu człowieka; a w tem starciu, które jest zarazem rozprawą o byt materialny, wzmacniają się i wzbogacają pisma powściągliwe w wyrazach, niesprzedajne, uderzające śmiało na zepsucie w sferach urzędowych i towarzyskich, zasiadające codziennie na białym tronie sprawiedliwości, żeby chłostać obłudę i rozpustę.

Prassa amerykańska nie jest tem, czem przed ćwiercią wieku albo laty dziesięciu była, kiedy się trzymała zasady, że wolno serce własnej matki obnażyć, jeśli publiczność zapłaci za oglądanie raka, który je toczy. Jej postęp ku idealnemu gazeciarsztwu jest powolny, ale daje się już mierzyć.

Niespodziewajmy się, żeby się do ideału zbliżyła jutro, za rok, lub lat 10. Dość, że się porusza naprzód, zamiast się cofać. A czy wolno tyle o każdej innej powtórzyć, — niewodzonej tak często na pokuszenie bezkarnością, krępowanej, moralizowanej? Koniec końców, już się nie dziwię, że, będąc raz przysięgłym w processie wytoczonym pewnej gazetce powiatowej, sam jeden galkę za uznaniem winy redaktora rzuciłem, przeciw jednemu białym galkom amerykańskich kolegów. Kiedy rezonowałem z nimi, odrzekł jeden, zwolennik zasady, że swawolę pokona *sens publiczny*.

— Daj mu spokój. Prawda, że skłamał wierutnie, ale jeśli by grzywnę zapłacić musiał, gotów się zleknać i prawdy nie napisać gdzie potrzeba.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Służąca posessora*; oraz półarkusz 10-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

NIEKTÓRE WYDAWNICTWA

MICHAŁA GLÜCKSBERGA

w Warszawie, ulica Nowy-Swiat Nr 55.

PISMO ŚWIĘTE

STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU

przekład ks. J. WUJKA

jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja

ozdobiona 230 drzeworytami

rysunku najslawn. francuskiego ilustratora

Gustawa Doré

Cena egzemplarza bez oprawy rs. 32

W oprawie w płótno czarne rs. 42, czerwone rs. 44.

„ w skórę czarną rs. 46, czerwoną rs. 48.

Za przesyłkę dolicza się rs. 4.

Znakomitsze twory literatury nowoczesnej:

1. Laboulaye Ed., *Historia Stanów Zjednoczonych*, w 4-ch tomach, rs. 5.
2. Vambéry, *Islam w XIX stuleciu*, przekład Wł. Bogusławskiego, kop. 80.
3. Macaulay, Tomasz Babington, *Szkice historyczne* (Barère, Mirabeau, Fryderyk Wielki, Macchiavelli), przekład Jana Karłowicza, rs. 1 kop. 20.
4. Simon Julj., *Obowiązek*, przekład Kazimierza Kaszewskiego, rs. 1 kop. 20.
5. Carrière Maur., *Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku*. (Epoka rozwoju ducha i ideały ludzkości), 2 tomy, rs. 3.
6. Reich Dr Edw., *Studia nad kobietą*, przekład St. Kramsztyka, rs. 1 kop. 80.
7. Ribot T., *Współczesna psychologia pozytywna w Anglii*. (Mill, Spencer, Lewes etc.), przekład J. Ochrowicza, rs. 1 kop. 20.
8. Agassiz L., *Plan stworzenia*, z 50 drzeworytami, przekład K. Jurkiewicza, kop. 90.

Wszystkie 8 dzieł razem tylko rub. rs. 9, z przesyłką rub. rs. 10.

W oprawie rs. 15, z przesyłką rs. 16.

GALERIE WŁOSKIE

143 cenniejszych obrazów i rzeźb, znajdujących się w galeryach:

w Rzymie, Florencyi, Neapolu, Medyolanie i t. d.

w kopiach na stali

w 3 tomach

W oprawie w płótno angielskie, rs. 25.

„ w skórę kozłową, rs. 28.

102 Tomy powieści

Najznakomitszego naszego pisarza

J. I. KRASZEWSKIEGO

za rub. sr. 27, z przesyłką rub. rs. 30

(Spis szczegółowy na żądanie nadsyła się).

36 Tomów za rsr. 5 k. 40

Powieści, Pamiętników, Podróż i utworów dramatycznych

(wydane w 1876 i 1877 roku)

z przesyłką rubli srebrem 6 kopiejek 40.

Najnowsze utwory:

Asnyk A. (El....y), *Przyjaciele Hioba*, komedia w 2-ch aktach, kop. 60.

Kraszewski J. I., *Lublana*, 2 tomy rs. 1 kop. 80.

— *Sąsiedzi*, powieść z podań szlacheckich XVIII wieku, 2 tomy, rs. 1 kop. 80.

Wiśniowski Syg., *Świąteczka w ciemnym kraju*, (nowella), kop. 60.

Zaleski K., *Pani Podkomorzyna*, komedia, kop. 60.

Zbigniew, *Meleszkowie*, *Pani Borejszyna*, powieści, rs. 1 kop. 20.

TREŚĆ. Wspomnienie Tatrów, poezya, (dalszy ciąg), przez Kazimierza Glińskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Irlandya, Rys jej dziejów, (dalszy ciąg). — Przegląd artystyczny, (dalszy ciąg), przez Bronisława Zawadzkiego. — Nowiny paryżkie. — Prassa w Ameryce, (dokończenie), przez Sygurma Wiśniowskiego.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Ale moja Ludwisia nie będzie taką guwernantką, jak tamta z folwarku — dodała Griebłowa po chwili, ducha znów nabrawszy — o Boże uchowaj!... W czasie wakacji musi porządnie w domu pracować i umie już jak się należy ciasto piec, na kuchni się zna, z mlekiem wie jak się obejść i dla tego też jest rumianą jak sztetyna i zdrowa Bogu dzięki, świeża, aż od tego młodość pachnie. I nigdy też nie puszcze ją potem na guwernantkę do wielkiego miasta, aby mi nie zbladła i pańskich manier nie nabrała, jak tamta, wielmożna panna Franz z folwarku. Raz jeden widziałam ją w Tillroda w kościele, ale już mi tego dość, choć patrzyłam tylko z daleka. Taka też w stanie długa tyczka, jak jej sługa, tak też od ludzi się bocząca i bez żadnego rumieńca na twarzy, wyciąglej tak jakos, że niema na niej żęby jednego doleczka....

Tu przerwała sama sobie, aby tehu nabrać i nagle zrobiła lewo w tył ku drzwiom.

— Ach! miły Boże! zawołała. — Stoje tu i gadam, gadam jak za najlepszych czasów, nie pamiętając nic o robocie, której mam wyżej głowy. — Piesiu najdroższy, musisz mi młodych gołąbków z gołębnika przynieść i spojrz też za świeżemi jajami po kurniku, a ja muszę na gwałt do kuchni lecieć i panu dziedzicowi kawy nalać. Już się ustała pewno, już klarowna być musi, jak iza...

— Zaraz tu będę z powrotem — obiecała — pan się tymczasem trochę sam zabaw, przyjrzyj się rzadkościom, których jest pełno. — Wszystko słiczne....

Dygnęła i uszła, pobięła tupiąc po schodach. Najdroższy Pies poszedł za nią a pan dziedzic odstąpił teraz od okna i zaczął się rozglądać w koło siebie.

Wspominana wyżej wystawa z gankiem, mieściła się w samym środku frontowej ściany domu i zarazem też wypadła na środek obszernego pokoju, w którym się znajdował nowy miejsce tych właścicieli, i z którego również wiodły na ganek drzwi szklane, mające z każdej strony okno, co sprawiało, że pokój był jasno oświetlonym. Ale światło to było łagodne, lekko zabarwione tonem zielonym, bo przedzierało się przez białe perkalowe firanki w rzut wielkich figowych i palmowych liści. Dwie naturalnej wielkości postacie, wyglądające z głębi przeciwległej ściany, zdawały się w tem świetle jak żywe.

Na oblicze Henryka Markus wystąpił rumieniec, jak gdyby wewnętrznego wzruszenia, a czoło zmarszczyło się, gdy oczy spooczyły na pięknej, męskiej postaci w zielonej kurtce myśliwca, po nad którym zataczała się góra sucha, ostro odcinająca się od tła gałęz dębowych. Było coś dumnie surowego w tej akcesoryi niezwyklej i takim też: dumnie surowym musiał wyglądać za życia wynio-

sły urzędnik, przejęty dostojnością swą wielkiego nadleśniczego lasów książęcych; człowiek który własną siostrę na zawsze odrzucił za to, że pokochała niżej, jego zdaniem, niż jej się godziło: że mąż jej, za którego poszła z gorącej miłości, pochodził z rzemieślniczej, pracującej klasy. Ta jego siostra była matką młodzieńca, co dziś stał tu jako pan i dziedzic, spadkobierca wyniosłego biurokraty, który przecież przez cały ciąg życia nie poniżył się nigdy tak dalece, aby miał wyciągnąć rękę do słuszarza, kowala, choć z czasem skromny warsztat młodego mechanika przemienił się w ogromną fabrykę, która dała nie tylko ojcu, ale potem synowi majątek, fortunę wielką, i uczyniła nazwisko ich rozgłosnie znanem i szanowanem między ludźmi, umiejacami cenić obywatelską zasługę uczciwej i do dobrobytu społecznego przyczyniającej się pracy. On sam, p. Nadleśniczy, mierzył dla siebie niemniej wysoko, jak chciał, aby patrzyła jego siostra. Tylko córka szlacheckiego i to karmazynowego domu mogła być zostać jego małżonką i ta też, która się nią stała, choć uboga i bez grosza miała w żyłach krew starego rycerskiego rodu, który na niej się kończył. Przecież młodziak, patrzący teraz na oddane pędzlem malarza postacie tych dwojga istot, nie wierzył, aby związek ich był tylko dumnego wyrachowania skutkiem. Jak portret mężczyzny uderzał dumną, wyniosłą urodą, tak kobiety nęcił niepartym wdziękiem i słodyczą. Jasnowłosa, z mirtowem kwieciem u skroni i łona, była niemal anielsko piękna, i trudno było uwierzyć w możebność tej bolesnej ostateczności, że tyle wdzięków, tyle powabów najpierw zniszczył wiek, potem wziął grób i dziś była już z tego tylko garść prochu i kości.

W rodzicielskim domu syn nie słyszał nigdy matki, mówiącej z ojcem o bracie lub bratowej i długo nie wiedział nawet, że takich krewnych ma na świecie. Zadziwienie jego, już chłopcem wyrostkiem, było też wielkie, gdy naraz zobaczył w oczach matki łzy i dowiedział się, że wujenka jego, zamieszkała aż w Turynii, donosiła jej o śmierci męża swego, który nieszczęśliwym przypadkiem na polowaniu nagle skończył. Rodzice naradzali się długo ze sobą po tem zawiadomieniu smutnem; skutkiem narady był krótki list z kondelencją do wdowy napisany, potem jeszcze jeden adwokat napisał do drugiego z zapytaniem: jaki mianowicie majątek zostawił bezdzietnie zmarły? a potem już młody Henryk nie pamiętał, aby wspomniano kiedykolwiek o tej sprawie. Dumny pan urzędnik, tak dumny, jak tylko w Niemczech bywa, nie uznał znać za rzecz stosowną, aby fabrykant i jego żona odziedziczyli cośkolwiek, choć pamiątkę jaką po nim; fabrykant zaś jeszcze dumniej nie raczył prawie się upominać o należną mu część spadku po urzędniku owym i tak zostało.

Co przecież myślała i czuła wśród owych przykrych zajęć i nienaturalnie urządzonych stosunków rodzinnych ta piękna kobieta, której rysy nie wyrażały pychy, a tylko uczuciowość tkliwej i słodkiej, łagodnej natury niewieściej? Niewątpliwie kochała męża tak bardzo, że nie doszukiwała się w nim błędów, nie znała ich, lub usprawiedliwić zawsze umiała; po śmierci jego samotna, zapragnęła może zbliżyć się do rodziny utraczonego i w tym celu pisała do siostry mężowskiej pierwsza, lecz odpisał jej tylko szwagier chłodno i konwencyonalnie, więc o dalszym stosunku już myśleć przestała. A jednak syn tej siostry stał się teraz dziedzicem majątku, który jej mąż w całości i na własność wyłączną zostawił? Tak porządna i systematyczna we wszystkim, dla tego może nie robiła testamentu, aby samym biegiem rzeczy majątek ten wrócił po jej zgonie do tych, którym się należał?

Zaledwie mógł wzrok oderwać od przeszłej, młodziuchnej, jak wiosna postaci, której delikatna twarzyczka uśmiechała się do niego z pod bajecznej prawie obfitości jasnych, jedwabnistych loczków, ale pociągała go dalej żywa chęć przeniesienia tych czterech ścian, wśród których osamotniona przeżyła lata długie. Drzwi wszystkich pokoi, ciągnących się jeden za drugim, stały otwarte, mógł więc jednym rzutem oka przejrzeć wszystkie z końca w koniec. O! jakaż ogromna różnica między staroświeckim i ślady używania noszącym ich urządzeniem, a modnym, nowoczesnym przepychem wspaniałej willi, którą nieżyjący już jego ojciec w pobliżu fabryki zbudował?

Pokój, ze szklannymi drzwiami, wiodącymi na ganek, z garniturem wyszlifowanych, takim jak firanki u okien persem w zielone liście wybitych mebli, był najparadniejszą komnatą. Piękna saska porcelana stała na dwóch machoniowych komodach z bronzami; prócz kilku dobrych krajobrazów olejnych, wielkie zwierciadło zdobiło ścianę. To był zapewne bawialny pokój pani, obok zaś gabinet pana, a choć żona przeżyła męża o lat dwadzieścia, wszystko w nim było tak jeszcze, jak gdyby tylko co wyszedł z pokoju i miał powrócić za chwilę. Fajka jedna, na długim cybuchu z dużym bursztynem, stała w kącie, jak ją zapewne po ostatnim wypaleniu postawił, kilka innych było ustawionych symetrycznie w okrągłej, na ten cel przeznaczonej szafce. Papiery na biurku nie w takim znajdowały się porządku: przeciwnie, rozrzucone były, jak gdyby niecierpliwie szukającą czegoś ręką; pewno uczynił to wychodzący, który nie miał już nigdy tu powrócić, lecz ta co pozostała po nim osamotniona, utrzymała przez lata, przez lata długie wszystko ak było wtedy, gdy czekała go spokojna i wesola.

Szczególne uczucie ogarnęło młodzieńca: — Jak ta kochająca umiała sobie zatrzymać znikłe szczęście miłości i w pustce przedłużyć życie z ukochanym człowiekiem! myślał i zdawało się mu, że nie on sam jest wśród tych pokoi, że słyszy po za sobą czyjes jeszcze kroki. Po za gabinetem był pokój sypialny; tuż obok dużego, staroświeckiego łóżka z firankami, stało malenkie dziecinne łóżeczko, pokryte ładną kolorową kołderką i zdawało się patrzeć, że jakiś wdzięczny, różowy, jasnowłosy spioch, tylko co się ztąd podniósł. Z listów adwokata, który młodzieńcowi o sukcesyi i jej prawomocności doniósł, wiedział on, że wuj jego miał jedynaka syna, który przecież w dzieciństwie zmarł i było to jego łóżeczko, nigdy ztąd nie usunięte. Siła uczuć tkliwych musiała zatem aż do końca życia wzruszać serce kobiety, która tu dożyła samotnie starości, ale nie był to duch słaby i miękki, aby rozplýwać się w bezezynnej żalności i łzach daremnych. Pokój biblioteczny świadczył o tem: te książki które p. Nadleśniczo wa „wszystkie w głowie miała“, a szczególnie treść znacznie ich części. Za biblioteką był pokój, na którego ścianach wisiały całe pęki ziół leczniczych, które nieboszczka po lesie, górach i dolinach nieustannie zbierała, dalej duży alkierz, stanowiący laboratorium, kędy przetwarzała je na uzdrawiające lud okoliczny tynktury i balsamy, maście gojące.

Wróciwszy do pokoju ze szklannymi drzwiami, nowy miejsce tych pan zobaczył, że górna szuflada jednej z komod niezamkniętą, niedomkniętą nawet była. Otworzył ją i zobaczył w niej lekki szal, starannie na czworo złożony, obok wielki worek z zielonego atlasu, z którego wyglądała sucha jakaś lodyga. Pod workiem była mała, ale gróba książeczka, przeznaczona na notyski.

Z ostatniej, a zgubnej dla niej wyprawy w góry wróciwszy, schowała to wszystko razem niebo-

szezka. Były tam i rękawiczki zwinięte, i ze wzruszeniem niemal lęklwym, mimowolny drzeszcz wywołującym, wziął spadkobierca do rąk książeczkę, wśród kart której leżały to tu, to tam zasuszone listki i kwiatki, z poprawnie napisanymi ich nazwami łacińskimi, prócz tego znajdowały się tam zapiski różne o gospodarskich i domowych sprawach, dla pamięci zanotowane, przepisy i recepty, uwagi rozmaite, odnoszące się do ludzi i rzeczy, nawet spostrzeżenia meteorologiczne, a przytem myśli, których samotna kobieta z kim podzielić nie miała i składała je tu, gdy przychodziły do głowy i zaprzętały umysł. Co nie chciała, aby jej w niepamięć poszło, aby przeszło z wrażeniem chwili, która je wywołała, tu zapisaniem zostawało i ciekawe to było *silva rerum*. Duch nieboszczki odzwierciedlał się w tych kartach swobodnie i szczerze, nie tak nawet jak w pamiętnikach, które pisząc myślimy jednak, że je ktoś czytać będzie — tu była ta cicha rozmowa, jaką każdy z nas prowadzi ze sobą, ale której część większa udzieloną bywa innym poufnie. Ona nie miała nikogo obok siebie, prócz papieru, i jemu się zwierzała.

Młodzieniec z uszanowaniem złożył na miejscu worek, ale książeczkę już z rąk nie puścił. Jakie były ostatnie myśli nieboszczki? Jakie zamiary i przedsięwzięcia? Wzruszony i ciekawy wyszedł na ganek, siadł w krzesło, na którym ona ostatnia siedziała, przy jej małym stolczku od roboty i zaczął przewracać karty, ale teraz od końca. Na jednej, ostatniej, znalazł drobnym, wprawem pismem zapisaną stronicę całą:

— Po namysle, postanowiłam napisać testament. Nie odnosi się to do całego majątku; to co mi mąż umierając zostawił, nie uważałam nigdy za taką moją własność, abym miała prawo rozrządzać tem po zgonie. Czułam się zawsze i czuję teraz jeszcze używaliczką jedynie, niemniej przecież jest tu coś mojego także, mojego prawnie i zupełnie: folwark. Jeszcze narzeczoną dostałam go od ukochanego mego w dzień imienin, jako pierwsze jego dla mnie wiązanie i przez cały czas małżeństwa stałe pobierałam dochody, jakie przynosił. To była moja pensja, mój grosz na spinki, z tego się ubierałam i dawałam potrzebniejszym od siebie — z tego nawet uzbierałam sobie sumkę, którą umieściłam na hipotece oberży w Tüllroda. Tem mogę też i chcę z czystym sumieniem rozporządzać. Kto wie czy nie umrę pierwej niż maja nieszczęsna przyjaciółka z folwarku, z którą coś by się stało wtedy, gdyby nagle zabrał ją schronienia, jakie tam ma? Przez brak ostrożności mojej pod tym względem mogła by zostać w najwyższej nędzy. Z drugiej strony nie chciałabym, aby ten niepoprawny marnotrawnik, jej mąż, dostał to w ręce i roztrwonil, jak wszystko, co kiedykolwiek posiadał, lecz ona — biedactwo — jest tak dla niego słaba: tak nie potrafi mi się oprzeć w niczem, jak liś wiatrowi. Cóżbys przecie powiedział na to panie adwokat, gdybym zapisała folwark jego synowicy, Agnieszce Franz? Proszę, odwiedź pan Hirschwinkel najprędzej, jak będziesz mógł, ale nie zapomnij wziąć ze sobą dwóch świadków, potrzebnych do aktu.

Było to zatem napisane jako brulion listu, który przepisany nazajutrz, byłaby posłała swemu prawnemu doradcy, gdyby choroba, a potem śmierć nie przeszkodziły temu. Może botaniczna wycieczka zaprowadziła ją gdzieś blisko folwarku i tam przyszła jej myśl, która kazała za powrotem wziąć pióro do ręki. Zmęczona, i może już cierpiąca, nie miała sił zaraz przepisać, odłożyła na jutro i... nie dokonała już rzeczy nigdy...

Henryk Markus zamknął książeczkę i schował ją starannie do podróżnej swej torebki. Na wstępie do nowego dziedzictwa spotkał go jakgdyby duch nieboszczki i przekazał mu sprawę, której dokończyć nie zdołała... Szczególna rzecz, takie posłannictwo... Ale czoło młodzieńca zaszepiło się. Wstąpił nieboszczki do „nieprawnego marnotrawnika“ przeszedł i na niego, co jemu było się

mieszać z tą rodziną nieznaną i niesympatyczną, do której zbliżenie nie mogło sprawić mu żadnej przyjemności, a niewątpliwie musiało przynieść, przykreść?

To, co przeczytał, wkładało na niego obowiązek tego namysłu, jaki nieboszczka chciała podzielić z adwokatem. Czy nie najlepiej by było, gdyby folwark został jako fidei-komis zapisany p. Agnieszce Franz — guwernante?

Prawie się śmiał sam ze siebie i z przypadku, który spotkał jego — stanowczego wroga wszelkich guwernantek. I to on ma studyować synowicę p. posesora? Już widział się przed poważnie wdzięczną osobą z białymi rączkami, które tak dobrze umieją być prezentowane oczom męskim — od niechęcia. Od niechęcia też spuszczały i podnoszą się oczy; od niechęcia wyrwa się wyraz uczuć tkliwych, przytem raz po raz trocha francuszczyzny z paryżkim, jeżeli można, akcentem... Sonata Bethowena: Mondscheinsonate... przypadkiem niby narysowany widok jakiejś ruiny, lub chatki, oplecionej bluszczem, to wszystko, spotkać by go musiało niezawodnie...

W kilku lat po śmierci jego matki, ojciec ożenił się raz powtórny i z tego małżeństwa urodziła córka, którą, mówiąc nawiasem, kochał niezmiernie, sprowadziła właśnie w tych czasach na jego rodzinne kółko kłeskę — guwernantki! Przez jeden rok zmieniło ich się trzy, bo niestety, nie małe bobo, które miano uczyć, ale on sam stał się przedmiotem zajęcia tych mądrych dam. Każdej z nich tak się podobał dom, w którym przebywała, że postanowiła nigdy go nieporzucić. Nie jego to osoba przecież była tu pierwszą złego przyczyną — nie... p. Henryk Markus nie był zarozumiałym i wiedział, że gdyby jego stary ojciec był wdowcem, sentymenta były by się zwróciły w tamtą stronę.

Śmiał się, ale był zły. Dwór w Hirschwinkel nie był gorszym od Markus-villa, mógł się zatem spodziewać, że i tym razem, będzie wystawiony na słodkie oczy tej, której podobało by się zamieszkać tu szczęśliwie. Ach ten gatunek kobiet, co to za straszna rzecz!...

Przy tych myślach oczy jego zwróciły się prawie mimowolnie na obraz jasnowłosej, której słodkie oblicze zdawało się patrzeć na niego. Ta, o! ta nie miała nic wspólnego z tamtymi: to był inny rodzaj istoty, to była kobiecość prawdziwa! Uważała się tylko za używaliczkę w majątku, zostawionym sobie prawnie i wyraźnie... Szlachetne uczucie sprawiedliwości czuwało w tej białej piersi niewieściej i nie chcąc sobie nie przywłaszczać, zająca kobieta pracowała tyle lat uczciwie i rzetelnie dla spadkobierców z rodziny męzowskiej, choć ta rodzina tak szorstko odpochnęła ją od siebie, gdy osamotniona zapagnęła się zbliżyć do niej. — Ten charakter dzielny i prawy, ten duch podniosły i wyższy nad uprzedzenia, nad przesady, zdolny do pobłażania przez mądrą wyrozumiałość, należał do istoty, która przecież była kiedyś taką dziewczką słiczną i delikatną, jak lilijka! Co za włoski złote, co za usteczka cudowne... Patrzył, patrzył i serce mu topniało, roztkliwiał mu się w piersi, którą podniosło westchnienie niewysłowionej tęsknoty. Cóż to? on sentymentalny!... Wstał i usiłował otrząsnąć się ze śmiesznych wrażeń, jak z czegoś chorobliwie nienaturalnego.

— Pewnoś mnie pan nie słyszał, gdy weszła do pokoju, i nawet wtedy gdy tu już postawiła tacę na stole, choć łyżeczka szczekała wcale pięknie o filiżankę? zapytała go nagle Griebłowa. — Nie pan nie słyszał, zapatrzony tak w obraz nieboszczki, jak byś się pan w niej zakochał?

— Po same uszy — odparł młody pan z uśmiechem. Gdybym ją był znał, byłoby się z pewnością tak stało, czy była by młoda, czy stara.

— Nie była ani młodą, ani starą — odparła Griebłowa, posuwając tacę.

— Została do śmierci taka biała i różowa, jak kwiatek jabłoni i wyglądała z daleka, jak panien-

ka, za to zbliżka pokazywało się tyle zmarszczek, jak na suszonej ulegalce. Loków zawsze też było pełno, tylko podkoniec stały się już białe jak śnieg i figurkę miała zawsze dziewczęcą: szczupłutkie to było, a komenderowało ludźmi jak ja-ki generał.

Nowy dziedzic postanowił sobie uprzednio tylko trzy dni w Hirschwinkel zabawić, to jest zobaczyć, ocenić co to rzeczywiście warto? i przez Turyngski las dotrzeć aż do Frankonii. Ale oznaczony termin upłynął, a on nie myślał wcale o zamierzonej podróży dalszej, tak jak nie myślał już bynajmniej o sprzedaniu tego kawałka ziemi, który mu był niedogodny, bo oddalony od stałego miejsca jego pobytu, więc następcą tylko ciągle kłopoty, bez odpowiednich korzyści. Teraz przecież nie był by już tego zrobił za żadną w świecie cenę, a stary dwór tak mu się stał miłym, jak gdyby się był w nim urodził i wychował. Zamieszkiwał salonik ze szklanymi drzwiami, obok niego będący gabinet i komnatę sypialną; rząd pokoi z lewej strony, rozpoczynający się kancelaryą nieboszczyka Nadleśniczego, a kończący się laboratorium, kazał zamknąć jak przybytek przeszłości, co dręczyło p. komissarzową w sposób niewypowiedziany. Nie mogła tam nawet zajrzeć należycie i znów zamknięto jej drzwi przed nosem...

Młodzieniec żył tymczasem życiem takiego pu-stelnika, który na bory i lasy zawędrowawszy, nie wie zali ludzie ruszają się jeszcze na świecie, albowiem on hałasu tego, ruchu i gwaru ich sprzeczek nie słyszy. Taka cisza otaczała go w Hirschwinkel. Wszystkie zabudowania gospodarskie mieściły się na jednym, obszernym okólniku, czysto, ładnie wyziwionym, na który wychodziło się po kilku schodkach z tylnej części domu. Tam to przechadzały się majestatycznie wspaniałe indyki, tam wznosił się różnobarwnie pomalowany gołębnik, tam stała buda Sultana, mająca tylko wyjście drugie na dziedziniec główny, że przecież p. komissarzowa była osobą, godność swą cenić umiejącą, nie była by ścierpiała i tu żadnego hałasu, żadnego niepotrzebnego zamieszania i odwiedzin. Cud to był prawie, jeżeli czasem jaka kobiecina, dźwigająca gałęzie z lasu zajrzała tu za interessem, albo dzieci zbierające poziomki zaszły z nie-mi, zboczywszy z drogi, która wiodła koło samego dworu przez łąk zielonego blonia. Pan dziedzic za to zwiedził każdy kącik, zajrzał do każdej kliteczki i znalazł wszędzie nie tylko największy porządek, ale najwyższą troskliwość, aby nie i w niczem z krzywdą jego uszkodzonem nie zostało. Folwark odbijał też od gospodarstwa dworskiego, jak lata od pięknej, dostatniej szaty.

— Póki nieboszczka p. Nadleśniczowa żyła — opowiadał p. Piotr młodemu panu — póty uprawiano tam pola choć jako tako, bo stary posesor niezmiernie się bał dziedziczki swojej i szanował ją ogromnie. Trzymano tam jeszcze wtedy pracowitego, uczciwego parobka, który sobie dobrze z gospodarstwem radził i zabiegał uczciwie, ale i ten wkrótce za dziewczką poszedł: odprawił się, bo mu nie płacono, a starego też tarapaty do reszty przygniotły i o lasce, już teraz widzę chodzi. Grunta folwarczne stały by chyba odłogiem, gdyby nie gajowy z Grafenholzu, który się nad niemi zmiłował. Pochodzi on z tamtych stron, gdzie stary dzierżawił niegdyś wielkie dobra rządowe, klucz cały; służył podobno wtedy u niego i dotąd jest swemu dawnemu panu życzliwy i bardzo pomocny. Przytem ta obca dziewczyna, ta, o której moja żona mówiła, dzielnie ręki do wszystkiego przykład. Nie można o niej nic innego powiedzieć, jakkolwiek moja jejmość jej nie lubi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

Mac Flood był straszliwie brzydki — nastąpił więc szalony śmiech w pośród całej publiczności.

— Zapominasz pan — odpowiedział z kwaśną miną — że nie jestem tu Mac Floodem, lecz sędzią pana.

— Właśnie zwracam się do pana jako do sędziego — rzekł spokojnie Slowius Jumble i jeszcze raz osmielał się powtórzyć me pytanie.

— Nie ma ono żadnego związku ze sprawą.

— Mylisz się, panie prezydencie, mylisz się najzupełniej. Zaraz to udowodnię. Już od dziesięciu wieków Irlandya jest bitą i okradaną. Sądzę, że nie potrzebuję dodawać przez kogo. Otóż jako Irlandczyk i ja także byłem bity i okradany, a wrzucano mnie do więzienia za to jedynie, że wzywałem pomocy przeciwko złodziejom. Pomiń to tego nie uskarżam się na rząd angielski, o! bynajmniej! Uwolnił mnie on bowiem od wszelkiego rodzaju natrętów, zdrowych i chorych, dzięki też przymusowemu osamotnieniu dał mi możność ukończenia mego dzieła. Zechciej uważać, panie Mac Flood, to bowiem jest celem mej mowy.

Tytuł mego dzieła jest znany panu. „O przejściu z życia do śmierci i na odwrót. Brakuje w niem już tylko jednego rozdziału: o ścięciu. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że dziś właśnie każesz mnie pan ściąć. Nie mam nic przeciwko temu. Lecz było by pożądanem, aby wyrok pański przyniósł korzyść dla nauki. Na tym arkuszu, który mam zaszczyt wręczyć panu, zamieściłem objaśnienia doświadczeń, które wykonać należy natychmiast po odłączeniu mej głowy od kadłuba. Czynność tę mają wykonać dwaj moi uczniowie, których nazwiska wymieniłem. Jako o jedyną łaskę upraszam, aby dozwolono im bez przeszkody spełnić tę pracę. Idzie głównie o to: czy czułość i myśl przeżyje mnie i przez ile minut po uderzeniu miecza katowskiego? That is the question... Otóż ostatni rozdział mego dzieła wyjaśni wątpliwości, a jeżeli który z was, panowie przysięgli, zostanie z kolei skazanym na ścięcie — przynajmniej będzie już wiedział, co go czeka... Dixi?

I skończywszy usiadł na swoim miejscu. Mówił szczerze, wesoło, jak człowiek, którego by tocząca się właśnie sprawa obchodziła jedynie ze względów czysto naukowych.

Śmiechy w pośród publiczności łączyły się ze szpasmatycznym łkaniem kobiet.

Lecz zaraz potem nastąpiła głęboka cisza.

O' Connel podniósł się.

Mało kto znał go. Po raz pierwszy ukazał się on na ławie adwokackiej, odziany w poważną togę.

Zkąd więc pochodziło głębokie wzruszenie, które opanowało wszystkich obecnych, nawet zanim jeszcze zaczął mówić? Otóż i tłumy, równie jak pojedyncze osoby, mają chwile przeczuć. Coś nieprzewidzianego, nowego, coś niby objawienie, ukazało się w potężnej i zarazem ponurej postawie tego młodego olbrzyma, którego ściśnięta pięść, oparta na stole, wydała się prawicą Cyklopa.

— Drodzy rodacy moi — rzekł, zwracając się najpierw do oskarżonych — proszę was o pobłażliwość dla ludzi, którzy was mają sądzić. Mniemają oni, że służą swemu krajowi, jak wy również wierzyliście, że poświęcacie służbę swą ojczyźnie. Spełniają więc swój obowiązek, jak wy pragniecie

odzyskać należne wam prawa. Obowiązki i prawa są to rzeczy święte i godne szacunku, lecz pod warunkiem, aby tak jedne, jak drugie nie były spełniane na drodze nieprawej, przez gwałty i siłę pięści. Kto pierwszy zawinił? Anglicy! Nigdy nie było okrutniejszej tyranii nad tę, pod którą dotąd jesteśmy. A przecież, może bliską jest chwila, w której im przebaczymy, jeżeli tylko zechcą okazać, że są sprawiedliwymi. Bronią was, bronię zarazem i ich także. Zdaje mi się, że są dwie trubuny w tej sali, a rzecz jest tak ludzka, że rozpoczynając, brałem sędziów za oskarżonych, oskarżonych za sędziów. Sprawiedliwość dla wszystkich! Dość już niezgody, dość odwetów i gwałtów, niechaj światło Chrystusa oświeci nas wreszcie!

Po tym uroczystym wstępie, wypowiedzianym głosem poważnym i brzmącym, mówca rozbił zdanie, które podtrzymywał przez ciąg całego swego życia: Opór Irlandczyków nie jest bynajmniej nielegalnym, ponieważ jedynie siłą zostali przyłączeni do Wielkiej Brytanii! Nie należy też nikogo karać, a to tem bardziej, że powstanie nie wybuchnęło jeszcze, zatem czyn, który Anglia chce uważać za zbrodniczy, nie został jeszcze wykonany. Może Irlandya była by się cofnęła w ostatniej chwili porwania za broni? Kto to wie? Może byłaby się chwyciła środków innych dla ulżenia niedoli swojej — i tu rozwinął przed zgromadzeniem wspaniały świetny obraz, plan raczej, którego przeprowadzeniu oddał następnie całe swe życie: plan rewolucji prowadzonej środkami legalnymi. Do zgody, do pojednania i skonfederowania dwóch sąsiednich krajów doprowadzić mogła jedynie wolność i zupełna równość obu ludów.

Następnie zbił wywody prokuratora z nieprzewartością dowodzenia, bronił sprawy Fitz-Geralda z tak porywającą wymową, wymową partytyzmu i przekonania, że ze wszystkich stron grzmiały co chwila szalone, pełne zapалу oklaski.

Stary Curran, wzruszony aż do łez, przecisnął się do młodego kolegi i uściśnawszy mu rękę, zawołał:

— Danielu O' Connel, w tobie spoczywa przyszłość Irlandyi!

Proroctwo to wywołało nowy grzmot oklasków.

Prawie już niesłuchano innych obrotów. Jedną tylko jeszcze sprawą braci Sheares roznamietniła na nowo rozprawę.

Ich młodość, wzajemna miłość braterska, niezaprzeżony talent poetyczny u obojgu, budziły ogólne zajęcie. Im to prokurator królewski czynił najgłośniejsze zarzuty.

Starszy Jan był poetą już sławnym.

— Panowie! — odezwał się do sędziów. — W pośród oskarżonych znajduje się jeden obwiniony niesłusznie — jest nim brat mój Henryk.

Nadaremnie Henryk starał się go powstrzymać, mówił dalej z jeszcze większym zapalem:

— Ja wciągnęłam go do spisku, ja więc sam, ja jedynie jestem winien. Czyż można przypuszczać, aby miał się mieszać do politycznych zaburzeń, aby przyjmował w nich udział z własnego natchnienia? Ma już żonę i dziecię które kocha miłością najwyższą, przytem zaledwie dwadzieścia pięć lat. Serce jego nie zna jeszcze nienawiści — on jest niewinny! Niech matka nasza opłakuje jednego tylko syna! Przyjmuję całą odpowiedzialność za wszystko, o co nas obu obwiniają. Tak jest, nienawidzę Anglii i szczerę się tem uczuciem? Nie miejcie więc litości dla mnie, lecz oszczędźcie mego brata, a wtedy błogosławić was będę, nawet wstępując na rusztowanie! On zrzecze się zemsty, przebaczy i zapomni!

Henryk nie chciał przyjąć szlachetnej ofiary brata, rzucił się więc w objęcia Jana wołając:

— Śmierć Anglii! Niech żyje Irlandya! Erin go bragh!

Usiedli na ławie trzymając się w pół.

W pośród publiczności nastąpił rozruch do nieopisania. Setki głosów powtarzały z zapalem stary okrzyk wojenny Irlandczyków: — Erin go bragh!

Na salę wprowadzono żołnierzy z bagnietami; zagrożeni słuchacze stopniowo uspokoili się.

Sędziowie przysięgli udali się na ustęp dla narady.

Gdy powrócili, twarze ich były śmiertelnie blade.

Mac Flood trzymał papier, który drżał w jego rękach jak listek osiny.

Ponurym głosem odczytał wyrok.

Dwunastu wieśniaków skazano na szubienicę, innych na deportację. Kara deportacji dosięgła także O' Connora, sir Addisa Emmetti i doktora Slowiusa Jumble. Bracia Sheares i Edward Fitzgerald mieli zginąć pod mieczem kata.

— Mushal — jęknął Pat do ucha swego sąsiada — Czy wiesz kto są ci sędziowie? Są to pacholkiwie kata!

Zaciśnął pięść i pogroził nią im, ale już nikt tego nie uważał, nie jedna ręka to uczyniła.

XXVI.

Slub in extremis.

Sędziowie przysięgli wyszli, a raczej wymknęli się tylnymi drzwiami; tamtędy wyprowadzono też skazanych.

Otoczał ich liczny szereg żołnierzy. Wszystko to odbyło się z wielkim pośpiechem.

Potem żołnierze zajęli tak zwany przybytek sprawiedliwości, rugując tłum i osłaniając uprzywilejowane miejsce.

Gaillfontaine zbliżył się do Kornelii.

— Oto dwaj listy, rzekła wtedy. — Siostra Edwarda napisała je w przecieczu tego, co się stało. Jeden z nich jest do ciebie, panie wicehrabio, drugi do sir Reginalda. Jest on bardzo pilny i należy go natychmiast doreczyć.

Tankred dostrzegł Pata, w ostatnim szeregu tych, których usuwano ze sali. Przyzwał go skinięciem głowy.

Paddy przeslizgnawszy się przez szeregi Niemców, wsparł się na ramionach dwóch żołnierzy i zrzeczą jak skoczek na linie, jednym susem przebył ostatnią przeszkodę, oddzielającą go od pana.

— Zuch jesteś! — pochwalił go Tankred. — Zaniesiesz natychmiast ten list, który jest nadzwyczaj pilny, do pólkownika Reginalda Cornwallisa. Stoi on na placu na czele dragonów.

— Och! — odparł Pat — za pięć minut będzie w jego rękach.

I wymykając się z ogromnych rąk niemieckich żołdaków, usiłujących go pochwycić, zniknął szybko w tłumie.

Wicehrabia ścisnął za nim wzrokiem.

— Możemy zaufać temu dzielnemu chłopcu — odezwał się do Kornelii. Czy pozwolisz mi pani przeczytać list przeznaczony dla mnie?

— I owszem, proszę cię o to, wicehrabio.

Bilet zawierał tylko te dwa słowa: — Przybawaj pan!

Kornelia chciała powrócić do pałacu, Tankred podał jej ramię.

Lecz nie było łatwo wyjść. Tłok przeddrzwiami sali i na korytarzach był tak ogromny, że zaledwie w godzinę przecisnęli się do przedsionku.

Ztąd można było dojrzeć cały otaczający plac.

Widok był wart, aby go widzieć i zatrzymać obraz jego w pamięci.

Na placu, na ulicach, na wybrzeżu, wszędzie ogromne tłumy, zaledwie powstrzymywane w rozdrażnieniu przez przytomność żołnierzy. Z oddali dochodził groźny, nieustający zgiełk, podobny do szumu wzburzonego morza. Witano z zapalem skazanych, których właśnie odprowadzono do Starego Zamku, obrzucano przekleństwami konwojującą ich konnicą szkocką. Lud zdawał się doprowadzony do ostateczności — jednak powstrzymywał się jeszcze, jak by oczekując na sygnał.

Tymczasem już dzień ten, pamiętny w historii Irlandyi, kończył się i słońce skłaniało się do zachodu, a rzadko kiedy widziano podobny zachód. Zdawało się, że był to ogień, że była to krew. Po twarzach ludzkich, po karabinach i pałaszach żołnierzy migotało jaskrawe, złowieszcze światło.

Na południowym krańcu widnokregu gromadziły się czarne chmury, zwiastując burzę.

Gdy Tankred i towarzysza jego doszli wreszcie do pałacu Leinster, noc już zapadała.

Jednocześnie przybył tam także i sir Reginald Cornwallis. Towarzyszył mu jeden z jego oficerów.

— Przychodzę na wezwanie miss Łucyi — rzekł półkownik. — Pozwól panie wicehrabio, abym przedstawił ci lorda Roden, mego adjutanta i przyjaciela.

Dwaj młodzieńcy podali sobie ręce. Poczem gdy Tankred został z kolei przedstawiony, syn wicekróla zapytał go:

— Czy nie wiesz pan, po co mnie wezwano?

— Nie wiem — odparł. — I ja również otrzymałem polecenie przybycia, jednak bez wymienienia powodu. Wejdźmy, półkowniku; mis Łucya wyjaśni nam o co idzie.

Zastali całą rodzinę skazanego, zgromadzoną w salonie.

Wszyscy wiedzieli już o wyroku.

— Panowie — odezwała się siostra Edwarda — wezwałam was z rozkazu mej matki.

Blada, wzruszona, wahała się, czy ma mówić dalej.

— Mów, moje dziecię — rzekła księżna.

Młoda dziewczyna podniosła głowę i z odwagą, z właściwą jej otwartością, zbliżyła się do swego narzeczonego.

— Reginaldzie — odezwała się drżącym nieco głosem — kilkakrotnie powiedziałeś mi, że gdybym była twą małżonką, miał byś więcej praw do bronięcia życia mego brata, bo byłby to już twój szwagier. Czy i dziś jeszcze myślisz tak samo? Czy kochasz mnie zawsze?

— Jak możesz pani pytać mnie o to? — zawołał sir Reginald wzruszony do głębi serca.

— A więc — przerwała mu ze smutną powagą, — ksiądz katolicki czeka na nas. Pan zaś przyprowadziłeś już ze sobą swego świadka, wicehrabia de Gaillefontaine nie odmówi mi tej samej usługi.

Teraz oba listy zostały wyjaśnione.

Tankred pochylając się z uszanowaniem, odpowiedział:

— Jestem pani na twe rozkazy.

Nikt, z wyjątkiem może młodej dziewczyny, nie dosłyszał stłumionego westchnienia wicehrabiego, nie dostrzegł jego spojrzenia, wzniesionego, jak gdyby za ulatującą w dal ostatnią nadzieją.

W pałacu Leinster, jak prawie we wszystkich domach arystokratycznych rodów irlandzkich, znajdowała się kaplica.

Kapelan pałacu już się w niej znajdował i wkrótce potem połączył młodą parę dożgonnym związkim.

Zaledwie nowopoślubieni odstąpili od ołtarza, Lucy zwróciła się do sir Reginalda.

— Teraz — rzekła — Edward jest twym bratem ocal go!

— Pamiętam o tem — odparł syn wicekróla z głębokim wzruszeniem — i w obec Boga przysięgam, że nie ujrzyś mnie, chyba z nim razem.

Zobowiązanie to mogło się stać rozstaniem na zawsze.

Wyszli w towarzystwie obu świadków.

— Zastąp mnie w dowództwie szwadronu, który jest na służbie, odezwał się półkownik do swego adjutanta. — Teraz niewolno mi myśleć o niczem innym prócz Fitz-Geralda.

Następnie zwrócił się do Gaillefontaine.

— Być może, wicehrabio, że zażądam dziś od

ciebie przyjacielskiej usługi. Bądź więc łaskaw, czekać na mnie w swem mieszkaniu aż do północy.

Poczem wskoczywszy na siodło, odjechał galopem.

Tankred powrócił pieszo i aby lepiej rozpoznać stan umysłów, poszedł znacznie dłuższą drogą przez starą i najuboższą część miasta, owo Ghetto Dublina, która nazywa się Liberties.

Tam w pośród gruzów i brudów, w piwnicznych norach, mrowi się lud wygłodniały, lud żebraków, jakich za skończeniem średnich wieków nie ma już nigdzie, oprócz jednej nieszczęsnej Irlandyi. Działy się tu dziś prawdziwe cuda.

Za zwyczaj ci nędzarze są pokorni i nieszkodliwi. Poprzestają oni na pokazywaniu swych łachmanów, używając ich za środek do wzbudzenia litości. Tego wieczoru nie można ich było poznać. Wydawali się istnemi zbójami, ze spojrzeniem zaognionem nienawiścią, z postawą pełną dumy i groźby. Przy niepewnym blasku latarni Tankred widział przesuwające się ponure postacie, złowrogie typy, które w przeddzień strasznych wstrząśnień ludowych, zdają się rodzić w zaułkach wielkich miast. W głębi brudnych, czarnych uliczek wicehrabia odgadywał, że te poruszające się cienie, gotują się do walki, wyrwijąc kamienie bruku i ostrząc długie noże.

Dalej, w ulicach, gdzie znajdowali się bogatsi kupcy, wszystkie sklepy były zamknięte, domy ciemne i milczące.

Gdy wicehrabia powrócił, Pat biorąc z rąk jego kapelusz i łaskę, szepnął zniżonym głosem:

— Arrah! Będzie źle!

A gdy pan spojrzał na niego badawczo, dodał:

— Mówię o pogodzie — i spoglądając z ukosa na niebo, wskazał ręką w stronę, gdzie od czasu do czasu ukazywały się już błyskawice.

Lecz nam należy powrócić do sir Reginalda, którego widzieliśmy pędzącego ku zamkowi.

W kilka minut później, młody półkownik wszedł do gabinetu ojca.

Pomiędzy znakomitami ludźmi, których posiadała wówczas Anglia, lord Cornwallis zajmował jedno z miejsc pierwszych. Zwycięzcy w Ameryce, z kolei zwycięzca w Indyi, pozyskał sławę zdolnego wodza. Jako polityka daliśmy go poznać na pierwszych stronicach naszej pracy. Był on jednym z owych kunktatorów, którzy usiłują zwyciężyć za pomocą czasu, zwlekają ostateczną chwilę walki, lecz zato, gdy już nie mogą jej uniknąć, stają się tem energiczniejszymi i są nieublagani, bo czują się wolnymi od wyrzutów sumienia. Wiedzano o nim, że nie wchodzi on nigdy w układy z obowiązkiem.

Miał już około pięćdziesiąt lat, postawa jego była dumna, twarz surowa wielkiego pana ze starej angielskiej rasy. Odznaką mężstwa i żołnierskiego jego zawodu była szeroka blizna, przechodząca wzdłuż wysokiego, już wyłysiałego czoła.

Pod tą chłodną powierzchownością ukrywało się jednak serce bardzo tkliwe. Lord Cornwallis namiętnie kochał syna.

— Reginaldzie! — odezwał się, ujrzawszy go — jakże błąd jesteś!

Gdy młodzieniec zachował wciąż milczenie, dodał:

— I ja jestem równie smutny i stroskany. Jeżeli pragniesz powiedzieć mi co na osobności, skorzystaj z chwili, dopóki jesteśmy sami.... Mów, Reginaldzie...

— Mój ojciec — ozwał się głos młodzieńca przyciszony — przychodzę błagać cię o łaskę...

— Czego chcesz.

— Łaski dla jednego z tych, których dziś skazano...

Czoło lorda Cornwallis zachmurzyło się.

— Zapominasz — mówił ze smutną powagą — że jest to przywilej, którego nie posiadam, a raczej przywilej, który przysługiwał tylko królowi Jerzemu.

— Przysługiwał! Co chcesz powiedzieć [przez to, ojcze?

— Przed chwilą właśnie otrzymałem tę depeszę — czytaj...

Zawierała ona następujące słowa:

— W celu uniknięcia wszelkich próśb i wszelkich nadaremnych zwłok, mam zaszczyt, milordzie, przesłać ci zawczasu dołączone tu najwyższe postanowienie króla — mego pana.

— Oto owo postanowienie! — rzekł ojciec, podając synowi pergamin.

Reginald przeczytał umieszczony poniżej rozkaz królewski.

— Z uwagi na oburzające czyny, jakich się dopuścili buntownicy w naszym królestwie Irlandyi, rzekamy się na ten raz przysługującego nam prawa łaski.

Pod temi złowieszczemi słowami znajdował się podpis: — Jerzy, Król.

Pergamin wypadł z rąk Reginalda. Młodzieniec zawołał:

— Mój ojciec, zezwól przynajmniej na parodiową zwłokę, daj mi czas na podróż do Londynu i powrót. Mam piśmienną obietnicę księcia Wallii....

— Za pozwoleniem — przerwał mu lord Cornwallis — nie przeczytałeś dopisku ministra.

Na depeszy Pitt własnoręcznie dodał:

— Wyrok ma być wykonany, w 24 godzin po zapadnięciu.

W pierwszej chwili Reginald osłupiał. Poczem, podnosząc głowę, oświadczył stanowczym głosem:

— Zobowiązałem się, że Edward Fitz-Gerald nie umrze!

— Powiedz mi, jakim prawem uczyniłeś to? — rzekł wicekról z surowością. — Opamiętaj się, mój synu i bądź sprawiedliwym dla swego ojca. Czyż nie byłeś świadkiem wszystkich mych usiłowań, zmierzających do tego celu? Nie mogły one jednak przynieść żadnego skutku. Że nad tem cierpię, wiesz, lecz oto rozkaz, który muszę spełnić. Jest to bolesny obowiązek — równie bolesny dla mnie, jak dla ciebie. Zgadzałem się na twój związek z Łucyą Fitz-Gerald.

Z kolei Reginald przerwał wicekrólowi:

— Już ta, o której mówisz, nie nazywa się tak obecnie. Dziś została ona Łucyą Cornwallis... jest obecnie twą córką...

— Co... co mówisz? Wytłomacz się.

Z godnością, lubo pełną uszanowania dla władzy rodzicielskiej, sir Reginald opowiedział ojcowi o akcie, który odbył się przed godziną.

Wicekról zmarszczył czoło z niezadowolaniem.

— Może godziło się, poradzić się mnie naprzód — rzekł ze smutkiem. — Zapomniałeś, że masz jeszcze ojca.

— Och, ojcze! — zawołał Reginald — wiem ja, ile mnie kochasz. Nie zakrławiaj mi więc serca i zechciej posłuchać, co przysięgam uroczystie Łucyi, żonie mojej... Och, gdybyś wiedział, jak ją kocham! Muszę, muszę koniecznie ocalić jej brata... inaczej nigdy — przysięgam ci, że nigdy nie ośmielił bym się wystąpić z memi prawami męża. O nigdy! nigdy! Ach ojciec, jeżeli nie możesz zrobić dla mnie nic, daj mi umrzeć tu w tej chwili, u nóg twoich...

Nie był już on tym samym co zwykle człowiekiem. Namiętność, tak długo tłumiona, wybuchnęła wreszcie z całą potęgą. Oszały z bólesci, drżący, z pełnemi łez oczyma, z załamanemi rękoma, padł ojcowi do nóg.

Na surowej zwykle twarzy lorda Cornwallis ukazało się żywe wzruszenie. Jednak przezycieżył je.

(Dalszy ciąg nastąpi)